Cena 10 zł
(wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego).

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II. Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 25 sierpnia 1946 r. Nr 28 (39)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
02015

Eugeniusz Poniatowski

Opolszczyzna zwycięska

Podział Śląska nieszczęśliwie zaproponowany przez Radę Ligi Narodów w Genewie aktem z dnia 12 października 1921 r., zatwierdzony ostateczną decyzją dnia 20 października 1921 r. przez Radę Najwyższą w Paryżu, dokonał rozdarcia jednolitego etnicznie terytorium Nadodrza. Pozostawiona bowiem teraz w ramach państwa niemieckiego Opolszczyzna, t. j. część Śląska Górnego wraz z leżącymi na zachodzie powiatami: nyskim, grodkowskim, niemodlińskim, oraz zachodnią częścią powiatu prudnickiego, skazana została na osamotnienie, własną dolę i niedolę. Opierając się na Statistisches Jahrbuch für das Deutsche Reich z r. 1925, liczba Polaków w części Śląska Górnego, pozostawionego przy Niemczech, t. j. na Śląsku Opolskim, wynosiła według spisu z 1910 roku **623.596 osób**, a wraz z wyżej wymienionymi powiatami zachodnimi w całej regencji Opolskiej dochodziła do 633.176 dusz. Była to liczba spora, aby nie powiedzieć duża. Władze i całe społeczestwo niemieckie wiedziały o tym dobrze, a pielęgnując w sobie już od wieków plany zniszczenia żywiołu słowiańskiego przez usuwanie języka polskiego ze szkoły, urzędów, sądów, popieranie kultury germańskiej upośledzenie każdego Polaka, wykupywanie ziemi polskiej, wynaradawianie ludności autochtonicznej i likwidowanie szczególnie uświadomionych warstw społeczeństwa polskiego, łudziły się nadzieją, że z biegiem czasu uda im się zagarnąć z powrotem część Śląska, przyznanego Polsce. Dlatego też postanowiły za wszelką cenę i to w możliwie krótkim czasie zgermanizować przede wszystkim w granicach swego państwa ludność polską Śląska Opolskiego. Zdając sobie jednak sprawę, że tego rodzaju akcja nie da się nigdy przeprowadzić dotychczasowymi środkami i metodami, postanowili zwiększyć w walce środki terroru. Rozpoczął się przeto nowy okres prześladowań Polaków gorszy niż za czasów Fryderyka II lub Bismarcka.

TERROR DEMOKRACJI NIEMIECKIEJ

Rozpoczęto od akcji usuwania ze Śląska wszystkich elementów polskich a „demokratyczna" republika weimarska głosząca, że tylko dzięki zbyt liberalnej przedwojennej polityce wobec Polaków narażono państwo niemieckie na utratę najbogatszej części Śląska Górnego, okazała się w tej akcji równie bezwzględna i nie przebierająca w środkach, jak dawne cesarskie Niemcy. Dziesiątki tysięcy uchodźców Ślązaków po trzech powstaniach śląskich i po plebiscycie, w którym ludność Opolszczyzny wzięła duży udział musiało szukać schronienia na terenie Śląska przyznanego Polsce w urządzonych dla nich obozach w Jastrzębiu i Goczałkowicach. Każdy zaś nasz rodak pozostały na Opolszczyźnie i przyznający się otwarcie do polskości nie był pewien dnia ani godziny, nie wiedząc czy gospodarstwo jego pójdzie z dymem, czy nie zostanie obity, wyrzucony z pracy a może zapłaci za polskość życiem. Specjalnie założone stowarzyszenia i organizacje niemieckie, na czele z wysokimi urzędowymi osobistościami, liczne bandy bojówkarzy, a nawet żandarmeria działały w dzień i w nocy, by gnębić i prześladować powstańców, działaczy plebiscytowych i optujących za Polską Ślązaków. Sytuacja dla ludności Opolszczyzny była naprawdę męczeńska. I dlatego też kto mógł uciekał z tego piekła i ucisku, nie czekając aż go wyrzucą z połamanymi kośćmi za granicę do Polski. W pośpiechu sprzedano wszystko za bezcen, byle by tylko ujść z życiem a liczba takich wymuszonych emigrantów wynosiła ponad 60 tysięcy osób. Nic też dziwnego, że szeregi Opolan topniały zbyt szybko, grożąc katastrofą utraty najzdrowszych elementów narodowych i społecznych. Na miejscu pozostał tylko lud wiejski i robotnicy — ludzie do głębi zrozpaczeni własnym losem i bezsilni wobec ustawicznych prześladowań niemieckich. Sprawie polskiej na Śląsku ubywało co dnia bojowników, pionierów, którzy dotychczas brali najczynniejszy udział w pracy społecznej na tej ziemi. I dlatego też życie Polaków było bardzo ciężkie, dopóki nie podjęto akcji przeciw germanizatorskim zakusom na polskość.

OPOLSKIE „JESTEM"

Na szczęście umiano się zaraz zorganizować i w roku 1922 powstaje jednolity i pozytywny program mniejszości polskiej, którego organizacyjnym wyrazem był Związek Polaków w Niemczech. Zjednoczył on wszystkich Polaków pod jednym sztandarem, na którym umieszczono z czasem znak Rodła — hasła, które głosiło „Jesteśmy Polakami, należymy do narodu polskiego, którego kolebką kultury jest Kraków, wierną rzeką Wisła". Rozpoczęto walkę z Niemcami „o polską duszę, każde polskie słowo". Miasto Opole uznano w pierwszych dniach grudnia 1922 roku za siedzibę dzielnicy I Związku Polaków, skąd zaczynają wychodzić wszystkie poczynania w obronie kulturalno - ekonomicznej polskości Śląska, Polskie Towarzystwo Szkolne, działające z ramienia Związku Polaków szerzy oświatę, otwierając i opiekując się prywatnymi szkołami powszechnymi i ochronkami. Ruch harcerski, gniazda Sokoła, Towarzystwo Młodzieży Polskiej im. św. St. Kostki, koła śpiewacze i związki sportowe liczą z dnia na dzień coraz więcej członków. Banki ludowe, spółdzielnie rolnicze rosną i rozwijają się pomyślnie. Gazety polskie jak: „Katolik", „Nowiny Codzienne", „Dziennik Raciborski", „Zjednoczenie" i „Głos Ludu" uświadamiają i wychowują społeczeństwo opolskie w duchu narodowym. Tak bronił się lud polski nad Odrą, choć pieniądz niemiecki, szykany i nienawiść pragną stłumić i zgnieść akcję polską na Opolszczyźnie. „Jesteśmy Polakami! I tego nikt nam nie zmieni. Bóg znami! Sprawa z nami". Już w jednej ze swych pierwszych odezw, wydanych w r. 1923 zgłosił Związek pod adresem władz niemieckich prośbę, aby Polakom zapewniono tylko te same prawa, jakimi cieszą się Niemcy w Polsce. Ale napróżno. I choć rok rocznie ponawiano te petycje, wszystko było bezskuteczne. Ze strony rządu niemieckiego prowadzono powoli i planowo akcję germanizacji i ucisku, spodziewając się, że już w niedługim czasie wytępi się element słowiański na Nadodrzu.

HISTORYCZNE LICZBY

Tymczasem przyrost naturalny ludności polskiej na Opolszczyźnie w porównaniu z dzielnicami niemieckimi był bardzo znaczny i przekraczał 14%. Biorąc przeto pod uwagę 15-letni okres między 1910 r. t. j. ostatnim spisem ludności a przygotowującym się spisem na dzień 16 czerwca 1925 r., należało się spodziewać, że spis ludności 1925 r. wykaże na Śląsku Opolskim conajmniej 800 tys. Polaków (według spisu z r. 1910 było ich ponad 620 tysięcy). W wyniku jednak spisu z r. 1925, 542,508 osób zadeklarowało język polski jako ojczysty. Cyfra ta była niespodzianką, zarówno dla nas jak i dla Niemców. Polakom wskazywała jak wielkie ponieśli straty, Niemców przeraziła mimo wszystko jeszcze wielka liczba Opolan, przyznających się do polskości. Ilość Polaków w procentach była następująca: reszta powiatu rybnickiego 74,5%, powiat strzelecki 73,8%; reszta powiatu lublinieckiego 73,8%; powiat opolski 72,4%, powiat oleski 70,2%; reszta powiatu tarnogórskiego 68,3%; powiat kozielski 65,3%, powiat raciborski 64,2%; powiat toszecko-gliwicki 63,7%; powiat bytomski 54,1%.

Dwie trzecie Śląska Opolskiego wykazało zdecydowaną większość polską. Przeprowadzony w tym samym czasie spis ośmiu roczników dzieci w szkołach powszechnych według języka ojczystego stwierdził, że do szkół polskich uczęszczało 83,528 dzieci. Dla tych dzieci ilość szkół powszechnych wraz ze szkołami innych stopni i typów powinna sięgać tysiąca, a tymczasem w latach od 1923 do 1926 roku korzystało z polskich szkół powszechnych na terenie Opolszczyzny 1 dziecko na 70, w r. 1927 1 na 90, w r. 1928 1 na 170, w r. 1929 1 na 210, w latach 1930—1932 1 na 230. Charakterystyczny też spadek ilości głosów polskich zaznaczył się podczas wyborów do parlamentu Rzeszy i sejmu pruskiego w ciągu lat ostatnich. Oto wyniki. W 1922 roku w wyborach do parlamentu Rzeszy uzyskali Opolanie 50.183 głosy, a do sejmu pruskiego 48,023 głosy. W dwa lata zaś potem w wyborach ostatecznych do parlamentu Rzeszy 41.511 głosów, a do sejmu pruskiego 41,150 głosów. W trzecich z kolei wyborach przeprowadzonych w 1928 r. do parlamentu Rzeszy otrzymaliśmy 30,054 głosy, a do sejmu pruskiego 34,231 głosów.

FUEHRER RZĄDZI PRZEZ SWOICH BISMARCKÓW

Przewrót hitlerowski w Niemczech, dokonany w 1933 r., otwiera nowy okres w dziejach Opolszczyzny, którego znamieniem jest dążenie do zniszczenia wszelkich śladów polskości. Zmieniając tylko formy walki i ucisku germanizacyjnego wkroczył Hitler na drogę polityki wynaradawiania Polaków-Ślązaków, wyznaczoną przez Bismarcka i poszedł nią dalej. Mimo głośnych oświadczeń Führera III Rzeszy, np. dnia 17 i 21 maja 1933 r. w Reichstagu, że „narodowy socjalizm odrzuca wszelką myśl o narodowej asymilacji" oraz, że „duchowa mentalność ubiegłego stulecia, według której wierzono, że z Polaka można zrobić Niemca jest nam

Perspektywa Odry

Żniwa na Ziemiach Odzyskanych...

Żniwa, ukoronowanie trudu siewcy i oracza. Cieszymy się z każdego zżętego na tych przyłączonych do Polski ziemiach źdźbła żyta i pszenicy. Nie trzeba być nawet poetą na to, by zrozumieć, że każdy ustawiony na tych ziemiach polskimi rękami snop żyta, widziany przez obserwatorów zagranicznych, przyczynia się do utrwalenia w jak najpozytywniejszym sensie obrazu, że Polska t u t a j pragnie żyć i pracować.

Ta cenna, bo pozytywna strona obrazu naszych żniw na Ziemiach Odzyskanych nie jest niestety stroną jedyną. Nie wspominalibyśmy o tym, gdyby prasa codzienna, docierająca przecież także za granicę, nie była przyniosła takiej krótkiej notatki: „W związku z okresem żniw zachodzą często wypadki, że ludności zamieszkałej w południowych powiatach woj. olsztyńskiego bandy, rekrutujące się z ludności północnych powiatów woj. warszawskiego i białostockiego zabierają z pól nawet zżęte zboże. Bandy krzywdzą przede wszystkim ludność autochtoniczną... Analogiczna sytuacja miała miejsce w okresie zbioru sianokosów."

Świadomość narodowa nie polega jedynie na tym, że się nosi imię Polaka i mówi językiem polskim. Uważamy wobec tych wszystkich wypadków, że bardziej uświadomiona narodowo jest ludność Olsztyńskiego, która p r a c u j e, a pracuje nie tylko dla siebie, lecz i dla polskich miast, polskich współobywateli. Część ludności Warszawskiego i Białostockiego, urządzająca łupieżce wyprawy na odzyskane polskie ziemie północne i niszcząca żniwne zbiory, owoc trudu całorocznego tamtejszego polskiego autochtona, pozbawiona jest naszym zdaniem najkardynalniejszego elementu świadomości narodowej, a mianowicie szacunku dla pracy współobywatela i uczciwości w stosunku do tegoż.

Równocześnie wysiedla się jako „Niemców" Ślązaków i Mazurów, Warmiaków i Kaszubów, wysiedla się ich w głąb Niemiec jako pozbawionych pono wszelkiej świadomości narodowej.

Zdaje się, że p o d s t a w ą do zespolenia na trwałe Ziem Odzyskanych z Ojczyzną będzie zastanowienie się nad tym, kogo należy uważać za Polaka i kto wobec tego posiada przywilej repolonizowania Ziem Odzyskanych. Jeszcze nie jest za późno, jeszcze można oczyścić Ziemie Odzyskane z tego przybyłego tu n i e p o l s k i e g o elementu, aczkolwiek w naród polski od wieków wrosłego.

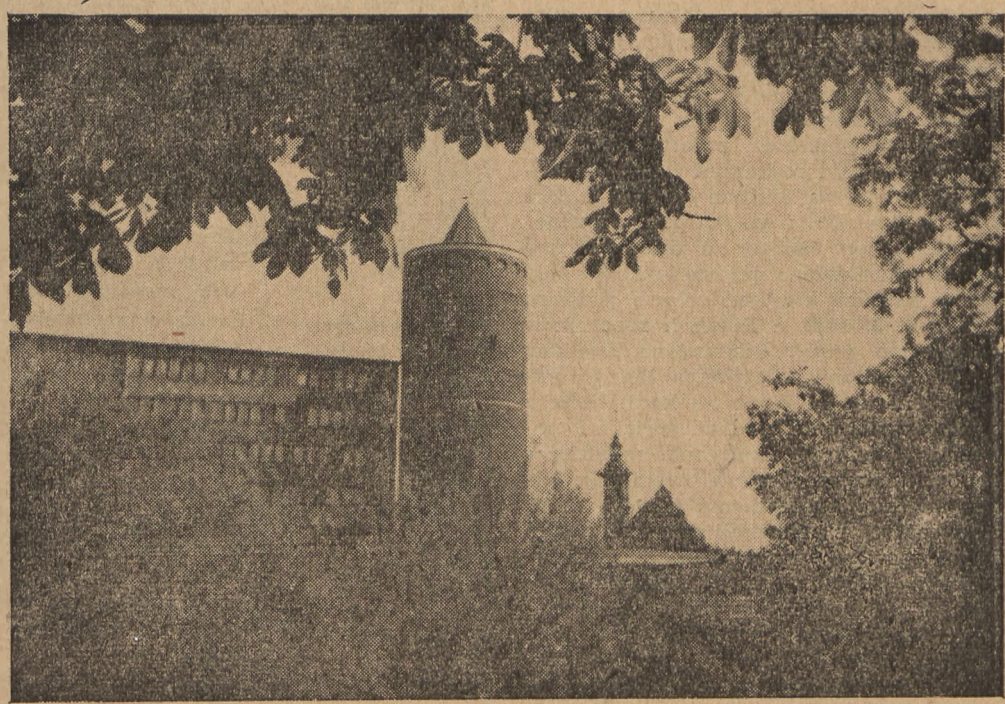

Wieża piastowska w Opolu

Dm 1241 05

tak samo obca, jak obcą byłaby każda odwrotna próba, której przeciwstawilibyśmy się z całą namiętnością" — w praktyce nastąpiło jednak silne wzmocnienie i pogłębienie akcji germanizacyjnej. I tak krzykliwa propaganda niemiecka wołała teraz na całe gardło, że Śląsk musi mieć zdecydowanie germańskie oblicze i charakter. Zapowiedziany drugi powszechny spis ludności w kilka miesięcy po dojściu do władzy Hitlera rozpoczął się kampanią przeciw ludności polskiej, otwierając agitację w słowie i prasie miejscowej. Atmosfera presji i zastraszenia, fabrykowana przez doszły do władzy obóz narodowo-socjalistyczny, domagała się, by ludność polska podawała jako język ojczysty niemiecki lub „oberschlesisch-polnisch", jeżeli nie mówi językiem literackim polskim. Podanie w podobnych warunkach spisującemu urzędnikowi jako języka ojczystego polskiego wymagało wielkiej odwagi cywilnej każdego Polaka i dlatego spis ten, o ile chodzi o dane statystyczne języka ojczystego, będącego dopowiednikiem narodowości, posiadał tylko względną wartość. Z oficjalnych wyników spisu, ogłoszonych dopiero w 1937 roku dowiadujemy się, że na Śląsku Opolskim **365.568** osób przyznało się do języka ojczystego, polskiego. Tendencyjna statystyka niemiecka, obliczona zawsze na użytek propagandowy, podawała z radością ten dalszy spadek liczby Polaków w stosunku do spisu z 1925 roku o 176.940 dusz. O ile w ciągu 15 lat, pomiędzy dwoma poprzednimi spisami w okresie I wojny światowej, statystyka spisowa stwierdziła zmniejszenie sił liczby ludzi języka ojczystego polskiego o 14,3%, to w ciągu 8-miu lat od 1925 r. do 1933 r. nastąpił dalszy spadek, który wynosił 30%. Nietajona chęć niemieckich kół rządowych o możliwie największe obniżenie statystyczne liczby Polaków osiągnęła swój cel. Dodajemy nawiasem, że tylko na papierze. Wiedziały o tym jednak dobrze władze najwyższe partii i dlatego w myśl wskazań, płynących z Berlina, taktyka pruskich władz administracyjnych poszła po linii możliwie szybkiego wynarodowienia Polaków i usunięcia śladów polskości ze Śląska Opolskiego.

„WSZYSTKO JEST NIEMIECKIE"

I znów wbrew wyraźnemu oświadczeniu Hitlera, „że narodowy socjalizm nie życzy sobie germanizowania nazw czy nazwisk", administracja niemiecka przystąpiła do zmieniania nazw miejscowości, które brzmieniem swoim przypominały polski charakter ziemi nadodrzańskiej. Ustawa niemiecka z dnia 30. stycznia 1933 r. (część I str. 49) przewidywała, że namiestnik kraju (Reichsstaatshalter) może zmienić na zwę miejscowości, po wysłuchaniu opinii gminy, zresztą nie wiążącej go. Administracja niemiecka skrzętnie wykorzystała ten przepis, skoro od połowy 1935 r. do 1939 r. zmieniono na Śląsku Opolskim ponad 600 polskich nazw miejscowości na czysto niemieckie. Sukcesów tej germanizacyjnej pracy nie taił nawet sam prezydent prowincji śląskiej, Wagner, w wygłoszonym przemówieniu do przedstawicieli prasy zagranicznej z okazji wygaśnięcia ważności Górnośląskiej Konwencji Genewskiej. chwaląc się, że „na wschodniej granicy Trzeciej Rzeszy jest wszystko rdzennie niemieckie". Totalne ustawodawstwo hitlerowskich Niemiec, które stworzyło system monopartyjny, zaciążyło też nad całym życiem kulturalnym Opolszczyzny. Teatry ludowe, chóry, orkiestry musiały należeć teraz do centralnych związków niemieckich, pozostających pod ścisłą kontrolą i rozkazami t. zw. Reichskulturkammer w Berlinie (ustawa z dnia 22. 9. 1933 r.). Prasa polska podległa silnemu nadzorowi cenzury, a dziennikarzom polskim odmawiano prawa wykonywania swego zawodu, stosując ustawę prasową z dnia 4. 3. 1933 r. Polskich robotników pozbawiano pracy. Odmawiano zasiłków polskim rodzinom, obciążonym licznym potomstwem i zabroniono im korzystania z pomocy zimowej. Narodowi socjaliści, powołując do życia organizacje młodzieżowe o charakterze przymusowym jak: Hitler Jugend, Arbeitsdienst (ustawa z 30. czerwca 1935 r.) zmuszali młodzież polską do wstępowania w ich szeregi, by młode pokolenie Ślązaków zatruć jadem hitleryzmu, a potem wcielić prosto do oddziałów S. A. i szturmowych SS. Odpowiednio i analogicznie zorganizowane zostały dziewczęta i kobiety polskie w oddziałach B. D. M. i Frauenschaft, gdzie starano się je zgermanizować w jak najszybszym czasie.

Napróżno Związek Polaków w Niemczech zwracał się do rządu niemieckiego aby zaprzestano stosować względem Polaków ustawy i przepisy, podkreślające dobro narodu niemieckiego i krwi germańskiej. — Prośby te nie zostały uwzględnione. Na terenie życia katolickiego władze hitlerowskie przyczyniły się do zmniejszenia aż do minimum nabożeństw polskich, usunięcia kazań polskich i nauki przygotowawczej do św. Sakramentów dla dzieci w języku polskim. Na polecenie władz (Sichercheitspolizei) miejscowe posterunki żandarmerii notowały wyruszających z kompanią pątników na Górę św. Anny i nawet osoby, udające się tam pojedynczo w drogę rowerem, były zapisywane. Ustawa o zagrodzie dziedzicznej z 29. września 1933 r. poddawała opolskich rolników drobnych i średnich o stanie gruntowym od 71/2 ha wzwyż prawom wyjątkowym. Chłop śląski od wieków twardo trzymający się swojej ojcowizny narażony został teraz na utratę ziemi i przymusowe przesiedlenie. W ciągu zaś ostatnich sześciu lat położenie szkolnictwa polskiego stało się nadzwyczaj ciężkie. Poza kilkoma polskimi szkołami publicznymi i prywatnymi oraz założonego w 1932 roku polskiego Gimnazjum w Bytomiu, do którego uczęszczało ostatnio blisko 300 uczniów i uczennic, nie tylko ze Śląska Opolskiego, ale i z całych Niemiec, starania Polactwa w Niemczech o otwarcie liceum żeńskiego w Raciborzu, nie odniosły w ciągu 5-ciu lat żadnego rezultatu, aż w końcu doprowadziły do tego, że władze niemieckie zabroniły dokończenia budowy gmachu. Oto wycinek z szykan stosowanych wobec synów piastowskiej śląskiej ziemi wbrew deklaracji rządu Rzeszy z dnia 5. 11. 1937 r., dotyczącej traktowania mniejszości polskiej w granicach państwa niemieckiego. Dnia 17. maja 1939 roku przeprowadzono na terenie całych Niemiec spis ludności. Do rubryk spisowych wprowadzono dotychczas nieznaną w niemieckich statystykach pozycję, mianowicie „Volkszugehörigkeit". Pytanie o język ojczysty, który dotychczas był oficjalnie uznany jako odpowiednik narodowości osoby spisywanej, pozostawiono po dawnemu w rubryce spisowej, ale obok tamtego pytania. Dlaczego tak zrobiono? Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Niemcy chcieli zapewnie unieszkodliwić obiektywne kryterium narodowości jakim jest język ojczysty polski i dla tego wymyślili nagle Volkszugehörigkeit. Cała propagandowa prasa niemiecka, stojąca na usługach partii, podawała całkiem otwarcie do wiadomości publicznej, bez żadnych skrupułów, „że kto poda polską narodowość sam będzie sobie szkodził". Na kilka dni przed spisem prasa i radio ogłosiły komunikaty, dotyczące spisu ludności. I tak „Ostdeutsche Morgenpost" dnia 14. 5. 1939 roku pisała: „Na Górnym Śląsku zdarza się jednak, że osoby pojedyncze używają dwóch języków potycznych, niemieckiego i polskiego literackiego. Ci wpisują w rubryce 9-tej niemiecki i polski. Górnośląska gwara mieszana (Oberschlesische Mundart), która jest zadomowiona w niektórych częściach Górnego Śląska, nie powinna być w żadnym wypadku stawiana na równi z językiem polskim (Hochpolnische Sprache). Przy tym prawie wszyscy mieszkańcy tego kraju, władają poza wspomnianym dialektem, językiem niemieckim, ci wpisują w rubryce 9-tej „niemiecki". Jeśli by się zdarzył rzadki wypadek, że ktoś umie się porozumieć tylko wspomnianą gwarą mieszaną, to może on, zgodnie z prawdą, wpisać pod rubrykę 9 „Górnośląski".

W komunikacie tym pojawiło się określenie „język górnośląski", chociaż przed 4-ma laty Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Niemiec i Prus ogłosiło, że takiego języka nie ma, a istnieje tylko język polski. Pomocą dla wypełnienia rubryki z napisem „przynależność narodowa" miała być instrukcja zamieszczona w oficjalnym komunikacie". „Przynależności narodowej nie należy mieszać z przynależnością państwową i z językiem ojczystym. Nie chodzi tu o to do jakiego państwa i do jakiego języka ojczystego poszczególny człowiek należy, ale o to z jakim narodem czuje się wewnętrznie związany, to znaczy do jakiego narodu się przyznaje. To też, ze względu na stałą wierną niemiecką postawę ludności śląskiej, jedynie w poszczególnych wypadkach może wchodzić w rachubę, że Ślązak przyznaje się do innej narodowości niż niemiecka". Przeprowadzony spis ludności nie został opublikowany. Przeszkodziła temu sześcioletnia zawierucha wojennna, rozpętana przez Hitlera i naród niemiecki. A szkoda wielka, że nie mamy statystyki niemieckiej i stanu cyfrowego Opolan z roku 1939.

Najgorszym jednak czynnikiem germanizacyjnym i wprost uniemożliwiającym polską działalność na Śląsku Opolskim już na kilka miesięcy przed wojną 1939 r. był planowy bojkot ludności polskiej wypływający całymi falami z organizacji hitlerowskich i społeczeństwa niemieckiego. Najmniejszy nawet przejaw polskości był tępiony, mówienie po polsku uważano za akt wrogi wobec państwa niemieckiego, a nawet modlenie się z polskich książek do nabożeństwa uważano za niebezpieczne i nakazano je spalić samemu względnie złożyć w szkole, gdzie je zbiorowo niszczono. Lecz te wszystkie prześladowania, których liczbę można by mnożyć w nieskończoność, znosił lud nadodrzański nadzwyczajnie mężnie, czerpiąc wiarę w lepszą przyszłość ze słów swojej pieśni.

„I nie ustaniem w walce
Siłę słuszności mamy
I mocą tej słuszności
Wytrwamy i wygramy"

I wygrali.

Maciej J. Kononowicz

Wracamy

Tu wracamy — zrozumcie: wracamy, by zostać!
Tu rośniemy — zrozumcie: rośniemy z korzeni!
Tu nas fala krwi polskiej spowrotem wyniosła —
Tu się Polska odrodzi — nikt tego nie zmieni!

Powracamy jak woda, powietrze i ogień,
Powracamy jak zieleń, śnieg, słońce i deszcze —
Tu się dłonie zaryły w ziemicę jak szpony,
Tu ramiona się zwarły, jak żelazne kleszcze.

Nie pytamy nikogo, czy wolno, czy można.
Powracamy na swoje — jesteśmy bez winy —
I nie chcemy rozumieć obcych gróźb i żądań:
Rozumiemy — po polsku, po polsku walczymy.

Łatwiej wdeptać, niż wyrwać — czekamy, czekamy!
Łatwiej zginąć, niż zdradzić — smak wolności znamy.
My ci sami — zrozumcie: z Walczącej Warszawy,
Z Psiego Pola, Legnicy, z Góry św. Anny...

Przesłanie:
Drapieżna nasza miłość, naiwna i prosta —
Taką dałeś nam, Panie — i takiej błogosław.

„W płaszczyźnie stosunków polsko-niemieckich obszar między dorzeczem Odry a Bugiem jest obszarem niepodzielnym. Tym obszarem władać może tylko jeden organizm polityczny. Jeżeli wedrze się weń drugi, silny, to jeden z nich musi ulec. Mogło obok Polski istnieć słabe księstwo zachodnio - pomorskie, mógł w rękach Habsburgów pozostać Śląsk i nie zagrażać Polsce, gdyż był eksponowanym cyplem monarchii habsburskiej żyjącym w łączności z obszarem sudeckim. Z chwilą jednak gdy na Pomorze zachodnie i Śląsk weszły Prusy, rozpoczął się bój Prus i Polski o całość jej ziem macierzystych. Dlatego też rozbiorów Polski było nie trzy, lecz pięć: 1648/1720 (zajęcie Pomorza zachodniego), 1740 (zajęcie Śląska), 1772 do 1795 (trzy rozbiory Polski). Dlatego też, z chwilą gdy Niemcy w roku 1919 utrzymały się przy pierwszych dwóch z tych pięciu rozbiorów, musiał w roku 1939 nastąpić pełny zabór ziem macierzystych Polski."

(Zygmunt Wojciechowski: Polska — Niemcy. Poznań 1945).

Nowości wydawnicze „Wiedzy"

Do nabycia we wszystkich księgarniach
cena zł. 250 (75)

Stanisław Kolbuszewski

Pierożkarz z Wrocławia i Filomaci

W kilka miesięcy po przeniesieniu się na Wydział Literatury i Sztuk Wyzwolonych w Wileńskim Uniwersytecie Tomasz Zan poczuł się poetą. Już wcześniej co prawda, jako student matematyki, wiersze pisywał, ale przymuszał wówczas patetyczną Kaliopę, ażeby mu układała słowa hołdu temu, który ciskając grom po gromie, „od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych", a w końcu na daleką św. Helenę zesłany został. Teraz atoli — a było to w okresie wielkanocy 1817 roku — do Tomasza Zana zeszła już dobrowolnie sama Thaleja i temat z życia studenckiego mu podsunąwszy, zaraz formę w komediach szkolnego repertuaru pokazała. W taki to sposób to, co młody poeta z nał z ksiąg i z opowiadań, powiązało się odrazu z rzeczami w życiu otoczenia wileńskiego zaobserwowanymi, a do tego znów zespolenia rzeczywistości i sztuki wcale ważne akcenty moralizatorskie się dołączyły. Zapędy bowiem reformatorskie Zan w duszy swojej chyba od urodzenia nosił, a gdy stał się poetą, stał się nim głównie poto, ażeby w poetyckiej formie o nade wszystko obchodzącej go naprawie rzeczypospolitej studenckiej z przejęciem powiadać. Chciał naprawiać dusze młodzieży i leczyć je z wszystkiego, co niedobre, poto, ażeby potem wspólnymi ramiony opasawszy ziemskie kolisko, mogli ci młodzi entuzjaści pchnąć je na nowe tory odrodzenia. Ponieważ w gronie kolegów znalazł kilku spobratanych umysłem i duchem, przed nimi z planów swoich się rozwodził, ale także ich uwag i myśli na ten temat chętnie słuchał, a skoro już do jednakich poglądów wszyscy doszli, zdecydowali się na stworzenie tajnego związku, który owe doskonalenie dusz i umysłów, własnych i cudzych, za zadanie sobie postawił. Tak tedy Tomasz Zan, Adam Mickiewicz, Józef Jeżowski, Franciszek Malewski, Jan Czeczot, Onufry Pietraszkiewicz zawiązali Towarzystwo Filomatów, a stało się to po wakacjach tegoż samego 1817 roku, w którym Zan — jak się rzekło — na Wielkanoc swą pierwszą i w życiu jedyną komedię napisał.

Właściwie nazbyt zaszczytna jest ta nazwa dla Zanowego utworu i słuszniej filomaci „krotochwilą" ją mianowali. W ramach jednej chyba godziny, niewiele dłużej w rzeczywistości trwać mogące drobne wydarzenia z życia studenckiego tu przedstawił, a na motyw przebrania sługi w pana położył główny akcent intrygi. Był to ulubiony motyw dawnej komedii, niejednokrotnie wyzyskiwany przez Molière'a dla wywołania efektów czysto komicznych, przez Marivaux przetworzony nie tylko na jakąś feerię czarodziejską, ale i poto, ażeby nim nowe momenty psychologiczne wydobyć. Że zaś i nasza komedia chętnie nim się posługiwała, Zan z gotowego wzoru skwapliwie skorzystał i całą intrygę umiejętnie do tego sprowadziwszy, dał zaraz szybkie rozwiązanie.

Dwaj studenci wileńscy zwabieni pierożkami sprzedawanymi na ulicy przez przekupnia, do swej stancji go ściągnęli w momencie, gdy ich koledzy zabawiali się w ślepą babkę. Tutaj zawiązawszy mu oczy, wyjedli ze skrzyni pierożki francuskie, sucharki i cwibaki, a skoro on zorientował się w sytuacji i gwałt podniósł, domagając się zapłaty, przebranemu za guwernera lokajowi Johanowi przekupnia srogo zwymyślać kazali. Nasunęły się Zanowi zaraz reminiscencje z lektury utworów lat ostatnich dziesiątków i epizod ten wykorzystał jako satyrę na bezkrytyczną gallomanię pedagogiczną, gdy byle przybysza, Francuzem się mieniącego, na nauczyciela przyjmowano. Jak Maria Dunajówna w monografii o latach uniwersyteckich Tomasza Zana (Wilno 1933) przypomniała, asumpt główny wziął poeta z „Dowiadczyńskiego" i Johanowi po prostu pojąć kazał, że „zwykłym manierem wyśmienice domowym będzie guwernerem", fruncuskie imię Damona przybrawszy, to samo zatem imię, które lokaj-nauczyciel Mikołaja Doświadczyńskiego nosił. Że na tę pozycję wielu kwalifikacji nie trzeba, nauczył go znowu Molière, a on już tylko niektóre szczegóły lokalne pododawał: „co kto pochwali, zganię, co zgani pochwalę... zganię polskie zwyczaje, wąsy i kontusze... i język macierzysty przywiodę w ohydę. „Atak był zwrócony przeciw gallomanii, ostatkiem sił broniącej się w salonach, ale jednocześnie Zan stawał pośrednio w obronie sarmatyzmu, t. zn. tradycji narodowej, w obronie podjętej niebawem wcale zdecydowanie przez niektórych filomatów.

Napięcie dramatyczne w sytuacji wprowadzał tenże lokaj, gdyż doskonale poczuwszy się w nowej roli, przezwał studentów błaznami. I znowu komedia popularna podsuwała pospolity efekt, zaakceptowany przez Molière'a: okładanie winowajcy kułakami. Gdy wreszcie przekupień skargi swe przed rzekomym guwernerem w najlepszej wierze roztoczył i głos zirytowany podnosił, Johan natenczas zagroził mu rózgami; na tę to chwilę jak deus ex machina wchodzący prawdziwy Guwerner przynosił rozwiązanie, bo zarówno przebrany lokaj, jak i przekupień do nóg mu padłszy — jeden o przebaczenie, drugi o spłacenie szkody — błagali, co oczywiście wspaniałomyślny nauczyciel uczynił. We wszystko to Zan rozmaite nauki moralne powplatał, niektóre zjawiska w życiu młodzieży ujemne i szkodliwe uwypuklił, głównie niepoważne pojmowanie obowiązku nauki i lekkomyślność zabaw, innym szkodę przynoszących.

Jak sama intryga, tak i w szlachetności i wspaniałomyślności arcykonwencjonalny guwerner Lerman świadczyli, że Tomasz Zan polskie i francuskie komedie nienajgorzej poznał, stamtąd efekty potrzebne do swojej krotochwili zaczerpnął i — jak one — poszczególnych osób rysy typowe już samym nazwiskiem oznaczał (nauczyciel Lerman, uczniowie Tępin, Urwipięta, Wiatran itd.). Najwięcej jednak światła rzucił na figurę centralną przekupnia i jemu to uwag kilka poświęcić warto jako kreacji wcale ciekawej i właśnie z Wrocławiem związanej.

Wszystkie inne osoby Zanowego utworu są pojęte i ujęte jako typy i przede wszystkim poto wprowadzone, ażeby za tło służyć postaci pierożnika, właściwego bohatera komedyjki i jedynego, który rysy rzeczywiście bardziej indywidualne posiada. O tym bohaterze Zan dosyć dużo powiedział, a powiedział niemal to wszystko ustami jego samego; z tych zaś wyznań i wypowiedzi możemy coś w rodzaju biografii ułożyć i to biografii interesującej.

Miał lat około sześćdziesięciu i nazywał się Bartłomiej Cwibak. Mówiono, że był Niemcem, ale dla niego sprawa narodowości stanowiła rzecz najzupełniej obojętną, gdyż życia szmat ogromny w środowisku polskim spędził, po polsku — haniebnie zresztą język wypaczając — mówił i gdyby nie to, że za to wypaczanie zeń kpiono, byłby się na pewno wśród Polaków zaaklimatyzował moralnie, jak zżył się z nimi — by tak powiedzieć — fizycznie. Imię w każdym razie miał nieniemieckie i z polska je wymawiał, a nazwisko fonetycznie również po polsku „Cwibak" pisał. Z trzy lata od siebie starszą żoną Katarzyną niedawno do Wilna przybył wprost z Mińska, gdzie nieokreśloną bliżej, ale sporą ilość lat przepędził, handlując smakołykami, które wespół z ową Katarzyną wypiekali; zaopatrywała się w nie głównie, jeżeli nie jedynie, młodzież w tym mieście się ucząca. Nie wszyscy za towar płacili, studenci byli swawolni, Żydzi kredytu nie dawali, bardzo droga mąka wiele zarobku pochłaniała, a przecie nie tylko trzeba było sprzedawać ciastka, ale samemu jeść i pić. Żyli więc Cwibakowie niedobrze, żyli po prostu „w wielkiej nędzy" i dlatego nie dziwota, że z rozgoryczeniem o tych mińskich czasach stary Bartłomiej później mówił.

Ponieważ zasłyszał, że w Wilnie są studenci zacni, bogaci i „uczeni", niewiele rozmyślając, zdecydował się „od tego głupia miasta uciekać", t. zn. z Mińska pójść do wileńskiej ziemi obiecanej. Ale tu zaraz na początku konkurenta niebezpiecznego znalazł w odwiecznym handlarzu pierożkami, starym Szuldygu, do którego już młodzież nawykła i nadal teraz u niego towar kupowała. Zaczął się tak nowy odcinek Cwibakowej niedoli i istna walka o byt. O dobroci, smakowitości, jedyności swojego towaru Bartłomiej Cwibak doskonale wiedział, starań wszelakich dokładał, ażeby jego „piękne pierożki, pszenne sucharki m i t cukr, cynamony, cwibaczki" i inne smakołyki najlepszej były jakości i rzeczywiście świetnymi one były (na co m. n. wskazuje fakt, iż bohaterowie Zanowi tak doszczętnie je zmietli); wyrobiła się więc w starym przekupniu drażliwość i wrażliwość w tej tak ważnej materii, inaczej mówiąc, serce mu „podrastało", gdy kto pierożki pochwalił, a ogarniało oburzenie, gdy niedoceniano czy nieodróżniano ich gatunku. Szalał zwłaszcza z oburzenia i miał „zadyszane" serce, skoro rzucano obelgę, że to zwyczajne „gryczane pierożki". Nienawidził tego słowa, które w interpretacji jego brzmiało „gryszan" i — rzecz to adnotacji godna, a o wzięciu komedyjki Zana dowodnie świadcząca — to brzmienie spopularyzowało się wśród filomatów.

A właśnie i to „gryszan" i zresztą cały sposób mówienia Cwibaka śmieszył wileńskich studentów i dlatego też z satysfakcją ze starca szydzili. Mówił Cwibak rzeczywiście źle, a Zan ten indywidualizm językowy troskliwie odtworzył, wplatając niemieckie słowa w tok zdań przepełnionych poprzekręcanymi pociesznie wyrazami, z których nie wszystkie za prawdziwe mówienie po polsku z niemiecka uznać można. Ogólną jednak tendencję Zan nienajgorzej uchwycił dla nadania kolorytu mowie swojego bohatera i dla wydobycia efektów humorystycznych, a korzystał w tym względzie z nadarzającej się w Wilnie obserwacji.

Nie lekką być w ogóle musiała dola Cwibaka, skoro wiedział jak bizun boli, skoro niejeden „szpicbub" go zwymyślał, a inny za ciastka nie zapłacił. W skutek tego wszystkiego myślami wracał nieraz w kraj lat dziecinnych i niekiedy innym o wspomnieniach owych coś niecoś opowiadał. Nie były one zawsze różowymi, ale ciekawymi są dlatego, że do biografii przekupnia nowe rysy przydają. Bartłomiej Cwibak był — Ślązakiem; jako chłopak chodził do szkoły farnej we Wrocławiu, a zatem rodzice jego tutaj mieszkać w owym czasie musieli, zanim gdzieś do mniejszej miejscowości się przenieśli. Można by nawet zaryzykować hypotezę, że urodził się we Wrocławiu i dlatego tutaj naukę szkolną zaczął i — skończył. Z tych wrocławskich wspomnień jedno najsilniej w pamięci starego już Cwibaka przetrwało, mianowicie surowy rygor szkolny, jakaś na tle rozbrykania wileńskiej i mińskiej młodzieży silnie odbijająca dyscyplina. A jednak figle także trzymały się wrocławskich chłopców i to figle nie bylejakie: oto raz, gdy bakałarz abecadła uczył, ktoś gałkę „skomczył" — (jak z białoruska Cwibak słowo „ulepił" oznacza) — i puścił ją na „łeb" nauczyciela, za co Bartłomiejowi srodze skórę tenże nauczyciel obił. Jeszcze po latach przeszło pięćdziesięciu pamiętał Cwibak, jak wówczas ze strachu jego „serc mocno skakał, męczył się i wadził", a to serce bijące najlepiej zdradzało, kto był sprawcą figla.

Widocznie jednak inne jeszcze, milszej już natury przeżycia wiązały się dlań z Wrocławiem, skoro jako człowiek żonaty znowu tutaj wyjechać postanowił. Mieszkał wtedy w gospodarstwie, do którego rodzice jego później już przenieśli się, a mieszkał tu wraz z bratem i siostrą. Tutaj też ożenił się z młodą jeszcze mimo wszystko Katarzyną, tutaj doczekał się synka, Johaszka. Miał wtedy lat 20, gdy z niezbadanych już dzisiaj powodów chciał wyjechać do Berlina i do Wrocławia, a żonę z dzieckiem na ten czas u rodziców zostawić. Była to pierwsza wyprawa poza dom, bo żegnali go wszyscy łzami, gdy już na kałamaszkę siadał, a i jemu na łzy się zbierało. Ale to ogólne rozrzewnienie nie wstrzymało go w postanowieniu i dopiero, gdy jego ulubione cielątko „żałośnym barzo kryknie głosem B a r t l o m i e j k u", nie wytrzymał, sam

Ratusz gotycki we Wrocławiu.

się rozpłakał i jazdy poniechał. Głupi ten epizod był w następstwa w tym sensie brzemienny, że Cwibak nigdy już później Wrocławia nie zobaczył. Losy pognały go wraz z żoną w świat daleki, do Grodna i Krzemieńca, a przez Smorgonie do wspomnianego Mińska i wreszcie do Wilna. Wszędy pierożkami handlując, dolę swoją łatał i on, Ślązak z pochodzenia, przez lata tej wędrówki jako tako mógł się swą polszczyzną dogadać i jako tako jeszcze jej się poduczył, a poznał też nieco język rosyjski i białoruski.

Że za krajem rodzinnym ciągle tęsknił, że miarą tego wszystkiego, co na prawdę dobre i piękne była mu wizja ojczystego miasta, na zawsze utraconego, to świetnie pojął Mickiewicz i gdy w kilka lat później do Zanowych „Gryczanych Pierożków" swoje zakończenie dorobił, ten właśnie motyw z duszy Starca dobył.

Jak to już Józef Ujejski w recenzji pracy J. Kallenbacha „Lata uniwersyteckie Mickiewicza" ustalił (w „Pamiętniku Literackim" z r. 1911), Mickiewiczowski „Dodatek do Cwibaka" w r. 1820 powstać musiał, najpewniej wtedy, kiedy dawni koledzy wystawiali sztuczkę Zana własnymi siłami w Wilnie, a Mickiewicz „za urlopem przybył do nich z Kowna". W liście do Malewskiego (przez Stanisława Pigonia w „Głosach z przed wieku") podanym) pisze Kazimierz Piasecki: „Będziemy obchodzić imieniny (Zana) odegraniem jego krotochwili. Szerok (Teodor Łoziński) najpryncypalniejszą obrał rolę... będzie wrzeszczał całym szerokim gardłem g r y s z a n, g r y s z a n, a wreszcie zakończy jambem..."

„Dodatek" Mickiewicza rozszerzał koloryt artystyczny komedii przez wprowadzenie śpiewów osób występujących, a w słowach Guwernera kładł silny akcent na rolę Zana w podniesieniu poziomu etycznego młodzieży wileńskiej. To w tonie podniosłym utrzymane i od tła krotochwili Zanowej odcinające się przemówienie efektownym komplementem zamykał Cwibak i wtedy to raz ostatni do swoich wspomnień młodzieńczych sięgał, że tak jak Guwerner o zasługach Tomasza Zana powiedział to nawet: „sam prediger in Wroclaw tak gut nie gawędzić".

Na większe i piękniejsze uznanie nie stać już było starego Cwibaka, gdy uczcić zapragnął poetę promienistego, który jego śmieszną i smutną postać do życia powołał, a motyw Wrocławia do poezji filomackiej wprowadził.

Kornel Filipowicz

Opowiadanie sentymentalne

Ilekroć z tego wielkiego oddalenia, w jakim się znajdowałem, będąc pozbawiony wolności, starałem się wywołać kształt i okolicę tego domu, zawsze natrafiałem na okrutną granicę nie do przebycia, od której musiałem zawracać, aby zacząć od nowa żmudną wędrówkę po wyobraźni, napotykając na coraz zaciętszy opór odległości. Być może, że stąd pochodzi desperackie przekonanie, jak gdyby tylko śmierć była w stanie odnieść absolutne zwycięstwo nad materialnością przestrzeni. Słyszałem dookoła siebie: śmierć to wyzwolenie! Jak umrzesz, to pojedziesz bracie raz dwa do domu...! Nie pozwalałem sobie nigdy na to złudzenie. Ocierając się o nią, wolałem nie myśleć raczej o niczym, niż oszukiwać się taką pociechą. Rozstrzelanie nazywano we więzieniu trafnie „rozbiciem". Tak mądrość potoczna przezwała koniec istnienia, nie pozostawiając żadnych złudzeń. Można było wierzyć moim towarzyszom, tym żyjącym i tym już nieżyjącym, że rozbicie oznacza zupełne rozpryśnięcie się na części, zniszczenie, koniec. Dyktował tak nieomylnie instynkt, a tylko umysł, szukający ciągle z lękiem ucieczki od tego absurdu, jakim jest śmierć, gotów był wskazywać nieistniejące ocalenie. Potem, w obozie koncentracyjnym, istniała też inna śmierć, ta rozłożona na długie tygodnie i miesiące, przychodząca stopniowo z wyniszczeniem ciała, łagodnie znieczulająca świadomość i uśmiercająca niewolę. Po niej pozostawała tylko smuga burego dymu, jak po jesiennym ognisku.

Dom ten leżał dobre dwa kilometry za wsią. Do miejsca, gdzie kamienista droga, będąca równocześnie łożyskiem wysychającego strumienia, skręcała raptownie gliniastym wąwozem w kierunku rzeki, — do tego miejsca udawało mi się dolatywać na skrzydle wyobraźni szybko, — odtąd strącony jak postrzelony ptak, musiałem brnąć na własnych nogach, według dziwnych praw wyobraźni, mimo, a może właśnie dlatego, że cel był już stąd widoczny.

Wybudowano go w czasach, gdy było dosyć miejsca do wyboru i gdy miejsce można było tak kapryśnie wyszukiwać, jak człowiek wędrujący samotnie, kiedy ogląda się za biwakiem, zmienia je dziesięć razy. Z drogi musiałem skręcać wąską gumowatą ścieżką, biegnącą gęsim pastwiskiem, omijającą kręto zalewy i młaki, obrośnięte wikliną i jeżynami. Tą ścieżką skracało się wydatnie odległość, gdyż droga obiegała wzgórzami naokoło. Sam dom stał na mądrze wypatrzonym cyplu, niezbyt wysokim, ale tak, że najbardziej nieoczekiwane powodzie musiały zatrzymywać się przed jego progiem, jakby właśnie na tej wysokości leżała miara wszystkich kataklizmów.

Jakże bardzo wydawał mi się ten dom, wówczas z perspektywy marzeń i tęsknoty, trwały i nienaruszalny. Nie dopuszczałem nigdy na dłużej wizji zniszczenia jego obrazu. A ileż razy, w ostatnim roku wojny, w czasach, gdy dochodziły mię wiadomości, że front zatrzymał się na linii tej podkarpackiej miejscowości — zawsze gotowa do usług złośliwa imaginacja, rada była zamienić ów dom w kupę różowego gruzu, okalającego śliwy w martwe, osmalone kikuty. Broniłem się przed nią, ochraniając w wyobraźni rzecz przed materialnym zniszczeniem. Przetrwanie tego domu w całości, o tysiąc kilometrów ode mnie, stało się dla mnie jakimś warunkiem, jakimś odniesieniem, do którego, po skończeniu się wojny, będę mógł nawiązać swoje przerwane życie.

Ileż razy zbliżałem się do niego pod wieczór, wpatrując się uważnie w śliwowy sad okalający go dookoła, w ściany stodoły i obory, w tajemniczy spokój podwórza, jakby chcąc przejrzeć niebezpieczeństwo, zanim mogłoby mię zaskoczyć; z oczyma natężonymi do granic ich materialnej władzy, jakby dla zaklęcia i zatrzymania wszystkiego, co mi mogło grozić od strony tego, co na tę odległość było jeszcze niedostrzegalne. (Na wyprawy te nie nosiłem ze sobą nigdy pistoletu, — za jedyną obronę trzeba było mieć tylko własne zmysły; w ten sposób uwalniałem się od omyłek i pochopności, do jakiej bywa skłonny człowiek uzbrojony).

Tam, nad kapryśną, podkarpacką rzeką, leżał ostatni punkt, przez który podawało się ludzi na drugą stronę granicy. Ostatnią ręką po tej stronie była słaba, kobieca dłoń, ściskająca palce obcego człowieka, prowadzonego między kępami wikliny i olchy, a potem brodem przez rzekę, błyszczącą zdradliwie jak stal, nawet w najczarniejszą noc.

Jej ojciec (niegdyś robotnik tartaczny, przytem trochę gospodarz, rybak i koszykarz), był już przy swoich sześćdziesięciu latach za niedołężny na to, aby przeprowadzać samemu; służył natomiast doskonale jako obserwator. Nieruchomy jak pień, bywał też przez strażników niemieckich uważany za przedmiot spoczywający przez całe popołudnie na brzegu, pochylony nad swoimi wędziskami, ogłupiony płynącą wodą. Tymczasem jego czarne, świecące jak u wydry oczka, widziały wszystko, liczyły posterunki, stanowiska i ronty tak doskonale, jak tylko potrafią zrobić oczy tutejszego chłopa, widzące każde najdrobniejsze poruszenie intruza, na tle własnego tak dobrze znanego, nieruchomego krajobrazu.

Gdy o zmierzchu wracał z nad rzeki, mieliśmy dokładny meldunek o stanowiskach, na których zasiedli strażnicy i miejscach, gdzie rozeszły się patrole; lukach, którędy będzie można zejść do wody. Człowiek, którego się przemycało, czekał tymczasem na niskim przystryszku nad stajnią, w niewygodnej pozycji, wsłuchując się, czy poprzez kopanie i postękiwanie bydła nie usłyszy głosu wzywającego go do odsunięcia deski i opuszczenia się w dół. Trzeba było zachowywać jak największe ostrożności, gdyż o tej porze zluzowani strażnicy zachodzili często po mleko z wieczornego udoju. W chwilę później wracałem poomacku łąkami, omijając wieś i drogę aż do spółdzielni, skąd nazajutrz rano samochód wiozący kontyngent jaj i mleka zabierał mię do miasta.

Do wyobrażenia tego domu nad rzeką powracałem w więzieniu, a potem w obozie, uparcie, jakby do punktu, który mógł mię ocalić, tak jak się często cofa do miejsca, skąd się zmyliło drogę, aby odkryć przyczyne błędu. Ileż razy żegnając się ze mną, pytała się mnie żartobliwie: — „kiedyż ja w końcu ciebie będę miała przyjemność szmuglować na tamta stronę?" — wkrótce" — odpowiadałem, odraczając ciągle termin i obierając w ten sposób fałszywą drogę. Chodziło w gruncie rzeczy o postanowienie, o oderwanie się od ciągnących się spraw i obowiązków, bo ryzyko przechodzenia w tym miejscu granicy było żadne w porównaniu z niebezpieczeństwem pozostawania na miejscu. Była też jeszcze jedna przyczyna, dla której myślałem o domu nad rzeką. Oto na krótko przed aresztowaniem, posłałem tam młodego dziewiętnastoletniego chłopaka, który miał powody, aby się wynosić za granicę. Zaopatrzyłem go (nie mając w tych dniach czasu na jazdę) żartobliwie szyfrowanym listem, polecającym go jej uczuciowej opiece. Byłem spokojny o jego talent krajoznawczy, był to coprawda czyjś jedynak, ale wychowany w sposób rozumny i wszechstronny na człowieka, który umie sobie dawać radę w życiu. Podałem go spółdzielni jako zastępcę na moje miejsce, z papierami konwojenta. Te cztery kilometry od spółdzielni do domu nad rzeką, przestudiowałem z nim krok po kroku każdy kamień, drzewo, mostek, wzniesienie i zakręt, tak, że kiedy powtórzył mi słowami tę drogę, lekko jak dobrze wyuczoną lekcję, poczułem się pewny jakby to chodziło o mnie samego. Kiedy jednak po dwóch dniach od jego wyjazdu zostałem aresztowany, byłem przekonany, że wlazł Niemcom w jakiś głupi sposób w łapy. Dopiero pierwsze przesłuchanie uświadomiło mi, że nie miało z nim żadnego związku. Zarzucano mi wszystko inne, lecz ani razu nie było mowy o tej okolicy.

Jeszcze jedna rzecz zmuszała mnie do ciągłego powrotu w to miejsce, była to irytująca niemożność przypomnienia sobie twarzy tej kobiety (Zjawisko to rozumiałem w odniesieniu do bliskich osób, których rysy roztopiły się całkowicie w mojej pamięci na szczegóły dobrze znane, lecz które nie są w stanie dać jednolitego wrażenia, podobnie jak nie sposób jest ujrzeć siebie samego, mimo, iż tak dobrze znamy każdą najdrobniejszą zmarszczkę koło swego oka). Jakże przykre jest dla

Kazimierz Gołba

Korona Chrobrego

(„Legenda o św. Jacku" — obraz piąty)

Komnata zamku książęcego we Wrocławiu. W głębi stolec na tle piastowskiego orła. Rok 1225.

Panosza Więcymił z Miechowic, dowódca straży zamkowej, wprowadza ojców Jacka i Czesława.

WIĘCYMIŁ: Oto książęce komnaty. Tu poczekajcie, czcigodni ojcowie! Książę i pan miłościwy wkrótce wam da posłuchanie.

JACEK: Czekać będziem jego książęcej miłości.

WIĘCYMIŁ (skłonił się i wychodzi)

CZESŁAW: Nieufni.

JACEK: Czuję to i rozumiem. To onych Gryfitów robota. Zabiegali, jak mogli, bychmy do księcia Henryka zgoła dostępu nie mieli.

CZESŁAW: Wadzi im to?

JACEK: Wadzi bardzo. Toż Odrowążów rodu są najmożniejsi rywale. Odkąd stryjec nasz pieczęć kanclerską przy dworze krakowskim piastuje i swymi się ludźmi otacza, snu spokojnego nie mają. Tutaj, na Śląsko, przybyli i na wrocławskim dworze przeciw Leszkowi judzą. Księcia Henryka do walki bratniej sposobią.

CZESŁAW: Zali w nas posłów stryjca jeno widzą?

JACEK: Dla nich my są — Odrowąże. Szata zakonna nic im nie tłumaczy. Stryjec a my — im za jedno. Zwłaszcza iż tutaj wżdy widzą nas razem.

CZESŁAW: Niedługo tego.

JACEK: Niedługo. Byś w serce zaźrzał mi bracie, nie znajdziesz tam nic — krom tej boleści, że króla Chrobrowe dzieło na strzępy nam się rozdarło. Ziemia polska łka we mnie, krwawe dziedzictwo Piastowe. Porwali ją między siebie i bój o nią bratni wiodą.

Czesław: I nie masz nic, co by dzielnice złączyło?

JACEK: Wiara jest święta i Kościół.

CZESŁAW: To dużo.

JACEK: By jeno wszytcy wierzyli, by w imię Boga żyli! Ja ci to wyznam, bracie, iż często, gdy o tym myślę, ciemno mi w oczach się robi i sam ze sobą się łamię. Gdzie iść i co począć, by strzępy ziem dawnych połączyć... most między książęty przerzucić? Czy sił mi starczy? Czy onej pracy wydolę?

CZESŁAW: Zali dlatego rozejść się już mamy?

JACEK: Tak, drogi bracie! Zachód powierzam tobie. Strzec będziesz Śląska kieby oka w głowie. Możesz do Czechów i Morawian chodzić, słowiańskie ludy Bożą nicią wiązać. Przede mną północ i wschód się otwiera.

CZESŁAW: Zali mi dufasz, Jacku? Póki szliśmy razem, byłem twym cieniem, pomocnikiem jeno. Tyś był zdobywcą...

JACEK: Tyś utwierdzał zdobycz.

CZESŁAW: Nie mam wymowy, nie mam ognia tyle.

JACEK: Masz moc wytrwania, karność szczepić umiesz. Tyle klasztorów, cochmy na Śląsku posiali, na długie starczy roki. Atoli trza je kieby rośliny hodować, by nie zmarniały przed czasem, a rosły, a kwitnęły — a nowe płonki puszczały.

CZESŁAW: Tu nam trza trwać i przetrwać.

JACEK: Tak, rozumiemy się, bracie!

(Wchodzi Więcymił z Miechowic)

WIĘCYMIŁ (stanąwszy obok drzwi) Książę i pan miłościwy!

(Wchodzi dwóch halabardników, za nimi wielmoża Mikołaj herbu Gryf, który zatrzymuje się po drugiej stronie drzwi, by przepuścić księcia Henryka, Brodaczem zwanego — książę Henryk kroczy majestatycznie ku stolcowi, za nim dopiero idą teraz Więcymił i Mikołaj — Jacek i Czesław powstali i składają mu ukłon. Książę Henryk zasiada na tronie. Więcymił i Mikołaj stają po bokach, — halabardnicy poniżej, przed stopniami — posłuchanie ma charakter oficjalny.)

JACEK i CZESŁAW: Bądź pozdrowiony, książę, nasz miłościwy panie!

WIĘCYMIŁ: Oto ci zakonnicy, co waszą miłość o posłuchanie prosili.

MIKOŁAJ (jadowicie): Odrowąże!

KSIĄŻĘ HENRYK: Od kogo posłani?

JACEK: Od ojca naszego, świętego Dominika, jenże w chwale niebieskiej u Boga oręduje.

MIKOŁAJ (zaskoczony, spojrzał na Jacka przenikliwie)

KSIĄŻĘ HENRYK: Jakoż to?

JACEK: I z woli jego świątobliwości namiastnika Krystusów, sługi sług Bożych.

MIKOŁAJ (zacisnął wargi)

KSIĄŻĘ HENRYK (gniewny): Zaliż to biskup Iwo słał na mnie skargę do Rzymu?

MIKOŁAJ (uśmiechnął się zjadliwie)

JACEK: Jeśli myśl takowa lęgła się pośród jego wrogów — (spojrzał w twarz Mikołajowi Gryficie) — niechaj na swoje wezmą ją sumnienie. Zakon nasz — to milicja wiary świętej i nie trza na to skarg, bychmy wszędy w jej sprawie walczyli.

MIKOŁAJ (zdradza nienawiść i mściwość)

JACEK: A jeśli papież nasz o polskie owieczki się troska, gdzież byłyby serca nasze, bychmy tych trosk nie poparli?

człowieka uwięzionego, poczucie niemożności sprawdzenia przynajmniej w wyobraźni czyjegoś istnienia.

Gdy tymczasem jakaś nieznośna pamięć mięśniowa nawracała mnie ciągle na obecność tej kobiety. Jej uścisk dłoni, jakiś nieokreślony skłon ciała w kierunku, w którym mieliśmy oboje skręcić, czy jakieś odruchy, które zatrzymywały postać nagle w miejscu, mimo, że nie byłem w stanie ich zobaczyć, żyły przechowane w tkankach niby wzory musztry w ciele rezerwisty.

O ile łatwiej mogłem w każdej chwili wywołać w pamięci osobę tego młodego człowieka, którego posłałem do niej tuż przed swoim aresztowaniem. Stawał na każde wezwanie, wyprostowany jak świeca, widoczny od stóp do głowy, mimo, że spotkałem go w życiu zaledwie dwa razy. Mogłem dowoli wpatrywać się w jego gładką, proporcjonalną twarz, lekko kręcące się włosy i jego krótkie, uniwersalne dłonie, po których tyle można się u młodego człowieka spodziewać, składające moją mapę, na której objaśniałem mu położenie domu nad rzeką.

Często, korzystając ze swobody myśli, jedynej władzy niepodległej, jakiej nie mieli mi sposobu odebrać, starałem się zniszczyć, skreślić to wszystko co nastąpiło w moim życiu od dnia, w którym posłałem do domu nad rzeką jego, — zamiast udać się tam samemu i przejść w końcu raz na drugą stronę, na zewnątrz tej przeklętej niewoli. Ile dróg poprzez Słowację, wiodło w szeroki świat, nieograniczony, wolny, otaczający nas dookoła jak powietrze. (Było to w czasach, gdy pierścień frontów był luźny, w pierwszej fazie wojny). Mogłem wybierać drogi dla niedokonanej wtedy, a przesiebranej teraz ile razy chciałem, ucieczki. Mogłem brać odwet za wszystkie wyrzeczenia się, za każdą decyzję powziętą pod wpływem nakazu społecznego, wbrew — jak mi się zdawało — mojemu osobistemu szczęściu, bo wiedziałem, że nazajutrz zbudzę się znowu pod niskim pułapem baraku, wydarty boleśnie ze snu, w obozie koncentracyjnym, otoczonym podwójną linią drutu kolczastego, granicą nie do przekroczenia żywą stopą.

Kiedy wysiadam na małej stacyjce, teraz po latach niewoli, ten sam stary kolejarz wyrywa mi u wyjścia bezdusznie bilet z ręki, nie podnosząc oczu na pasażera. Przez wieś idę otwarcie środkiem drogi, odprowadzany wzrokiem ludzi, którzy wiejskim zwyczajem odwracają się za mną dopiero, gdy ich mijam. W miejscu gdzie droga skręca, przystaję, gdyż stąd, z poza drzew, na dużą odległość, jaka mnie jeszcze od niego dzieli, widoczny już jest dom o masywnych ścianach, niskim dachu, wrośnięty tak mocno w ziemię i krajobraz, przedmiot który przez czas, gdy go nie oglądałem, przetrwał jak granitowy głaz pośrodku pola, omijany pługiem. Zbliżając się do niego na krótszą drogę przez pastwiska nadrzeczne, nie patrzyłem już więcej w jego stronę. Nie było już tam strażników, którzy mogli mię zaskoczyć, nic nie groziło z tamtąd mojemu życiu; niebezpieczeństwo groziło mi już tylko od strony własnego wzruszenia. Lazłem więc jak owad, który dostrzega tylko najbliższy mozół wydłużającej się pod nogami drogi, Kiedy podniosłem znów oczy, ujrzałem przed sobą tak dobrze mi znane podwórze, zajeżdżone w koło wozem. Obcy człowiek przestał na chwilę ciąć siekierą gałązki na pniaku i odwrócił się do mnie. Zanim zapytałem się: ‚Czy mieszka tu jeszcze pani Katarzyna, nauczycielka" — przeżyłem moment niedorzecznej trwogi, że ten człowiek weźmie mię za niespełna rozumu, że tu nic się nigdy nie działo, nie istniała władna Katarzyna, ani granica przez którą trzeba się było przemycać nocą na drugi brzeg. Ale człowiek zrozumiał od razu, że jestem tym, który wrócił z daleka, oparł się na siekierze i powoli, patrząc łagodnie na moją twarz, powiedział:

— „Pani Katarzyna uczy znowu w tamtej wsi, już od czasu jak nastała Polska. Mieszka tam w szkole. A ja tu mieszkam jako komornik, odnajęła mi dom i pole, tylko wymówiła sobie sad. Stary umarł, jakoś w marcu minęło rok od tego czasu."

Gdy po godzinie, dobrnąwszy pylistą drogą do sąsiedniej wsi, usłyszałem z otwartych okien szkoły wznoszący się i opadający gwar dziecinnych głosów, przystanąłem, a potem obszedłem budynek dookoła od strony podwórza, zwyczajem wędrowca, i zapukałem do drzwi klasy.

— „Franek idź zobacz kto puka" — usłyszałem jej głos z głębi, a mały chłopak stanął niezdecydowany w drzwiach, nie wiedząc co ma powiedzieć. Zapanowała chwila frasobliwej ciszy, w ciągu której Katarzyna zbliżała się, aby zbadać jej przyczynę. Zobaczywszy mię spytała krótko: „Ty?". Odwróciła się i powiedziała prędko do dzieci: „Możecie dzisiaj już iść do domu, tylko spokojnie!" — i przeskoczyła z wyciągniętą przez siebie ręką przez sionkę, nie oglądając się na mnie, otwierając drzwi do pokoiku naprzeciw, tak szybko, jakby coprędzej chciała postawić jakiś parzący ją w palce przedmiot. Stała teraz wyprostowana, odgrodziwszy się odemnie wielkim, kwadratowym stołem i płakała z radością, otwartymi oczyma, szczęśliwa że łzy znalazły wreszcie swoje ujście.

Tego wieczoru dowiedziałem się o wszystkim, co się stało po moim aresztowaniu. Ów młodzieniec dotarł do niej na drugi dzień po rozstaniu się ze mną. Ale nazajutrz rozpadał się wiosenny gwałtowny deszcz, powracający jeszcze przez trzy następne dni, w ciągu których przybyło wody na metr. (Ach pamiętam ten deszcz, przynosił mi przez kraty zapach rozkwitłych śliw i czereśni). Przy takim stanie wody byłoby szaleństwem przeprawiać kogoś na drugą stronę. Ów młody człowiek przesiaduje więc tydzień w swojej ciasnej kwaterze w oczekiwaniu na opadnięcie wody. (Nie pytam się Katarzyny w tym miejscu jej opowiadania, dlaczego jej twarz obsycha nagle z łez, jakby stały się raptem lotniejsze od eteru). Czwartego dnia, Katarzyna pamięta, że było to w sobotę, gdy tylko ojciec przyszedł z nad rzeki, przeczekawszy kwadrans, aby posterunki oddaliły się od siebie, — (znowu nie mam odwagi zadać jej okrutnego pytania, czy uświadomiła sobie wówczas jak niewiele czasu pozostawało zawsze od momentu rozejścia się strażników do momentu gdy zawracali, zaciskając spowrotem tą małą przestrzeń, którędy trzeba było wślizgnąć się nad rzekę). — Katarzyna prowadząc go za rękę, szukała stopami krawędzi brodu, zepchniętego ostatnią powodzią o kilka metrów wdół prądu. W chwili, gdy skręcała już na cypel przeciwległego brzegu, odezwał się strzał, a zaraz potem drugi i trzeci, klaszcząc po wodzie jak lina. „Ale dostaje się tylko pierwszą kulą — albo żadną". powtarza Katarzyna z wyrzutem. — bo w parę sekund później gdy próbowała powstrzymać jego miękkie ciało które prąd zabierał na głęboki nurt, huczała nam nimi burza pocisków, a jakiś karabin maszynowy pruł tam i spowrotem całą powierzchnię rzeki. Pod wiszącymi konarami wierzb, prąd wyrwał go jej wreszcie z rąk. („Ach mówi Katarzyna", żebyś wiedział, jaką natura ma w sobie nienawistną przemoc!"). Usiłowała go jeszcze dogonić, zatrzymywana i bita po twarzy przez mokre gałęzie, — gdy on już płynął spokojnie dołem coraz głębszego nurtu.

Wróciła, wydostawszy się na brzeg o dwa kilometry poniżej, nie zatrzymywana przez nikogo, choć szła bez pamięci, tarasząc wiklinę jak pędzone zwierzę. Nazajutrz ojciec spytał się jej, patrząc na bieliznę i suknię, które namoczyła w cebrzyku, jakby zamierzała robić pranie: — „No co, odesłałaś tego swojego... „Wyraził się o nim tak jak to umie chłop, gdy nie chce odróżnić rzeczy od wzruszeń niebezpiecznych dla jego prostego życia. Poco mi to opowiadziałaś, Katarzyno?

— „Od czasu śmierci ojca nie mieszkam już w tym domu. Odnajęłam go i staram się odczepić od wspomnień. Zwłaszcza, że nie biegnie już tamtędy granica, w tym strasznym znaczeniu z tych czasów, którą trzeba było przechodzić, mając tak uproszczone drogi przed sobą: życie lub śmierć! Wiesz zdaje mi się, że dla kobiety czasy, w których obnaża się sens tych dwóch ostateczności do samego bezlitosnego rdzenia, że to są czasy stokroć tragiczniejsze jak dla was".

— „Jakto", — dziwię się, nie rozumiejąc o co jej chodzi, — „czy zdaje ci się że istnieje jakaś inna forma mijania?".

Katarzyna nie odpowiada mi na to. Zaczyna poruszać się po pokoju, układając coś rękami w przestrzeni. Mówi: Będziesz spał na moim łóżku, ja sobie rozstawię tu pod oknem leżak. Zostaniesz przecież narazie tutaj, — dokąd pojedziesz po takich tarapatach? — Ale naprzód dam ci coś do zjedzenia. Kiedy wychodzi z pokoju, odwracam się z krzesłem w kierunku otwartego okna, gdzie jaskółki oblatując szkołę dookoła z głośnym świergotem, zgęszczają za każdym okrążeniem coraz głębiej czerwcowy zmierzch.

Wojciech Żukrowski

Nagrodę literacką „Odrodzenia" otrzymał Tadeusz Breza za powieść „Mury Jerycha". Drugim najpoważniejszym kandydatem do nagrody był Wojciech Żukrowski, autor tomu opowiadań „Z kraju milczenia" i powieści-baśni „Porwanie w Tiutiurlistanie". Czterech członków jury oddało głosy za Brezą, trzech za Żukrowskim.

Z wyróżnienia Żukrowskiego cieszymy się niezmiernie, tym więcej, że świetny pisarz jest członkiem Zespołu Odry oraz Komitetu Redakcyjnego naszego pisma, kierując jego wrocławskim oddziałem. Ze Śląskiem i z Ziemiami Zachodnimi związany jest Żukrowski od dawna już. Wychowanek szkół warszawskich, współredaktor doskonałego wonczas pisma młodzieży szkół średnich „Kuźni Młodych", krótko przed wojną osiedlił się na Śląsku. Tutaj współpracuje z jedynym wówczas pismem literackim Śląska katowicką „Fantaną". W czasie wojny jako oficer AK bierze czynny udział w pracy konspiracyjnej a w podziemnie wydawanym „Miesięczniku Literackim" drukuje dwa swoje opowiadania, znajdujące się obecnie w książce „Z kraju milczenia". Po wyzwoleniu naszych Ziem Zachodnich, jako jeden z pierwszych śpieszy na odzyskane tereny nadodrzańskie, biorąc udział w organizowaniu administracji cywilnej i wojskowej na odzyskanych ziemiach polskich. Równocześnie czynny jest przy organizacji życia literackiego w Katowicach.

W czasie wojny wydał konspiracyjnie tomik wierszy p. t. „Rdza", w roku bieżącym zaś wyszły z druku obie wyróżnione przez jury nagrody literackiej „Odrodzenia" książki.

Wojciechowi Żukrowskiemu życzymy dalszych zasłużonych sukcesów w jego pracy literackiej. Nagroda „Odrodzenia" wyróżnić miała najlepszy tom prozy polskiej od września 1939 po dni dzisiejsze. Nie zamierzamy w niczym ujmować członkom jury twierdząc, że nagrodzenie Żukrowskiego byłoby pociągnięciem równie sprawiedliwym, jeśli nie szczęśliwszym.

Jeszcze raz wyrażamy swą radość z wyróżnienia doskonałego pisarza młodego pokolenia, pisarza katolickiego, towarzysza naszej pracy. wisz.

KSIĄŻĘ HENRYK: Jakież są? Niechaj słyszę?

JACEK: Znane jest w całym krześcijańskim świecie dzielnic Piastowych rozdarcie i nieustanny krwie braterskiej przelew. Roku nie ma, by się ktoś z naszych książąt orężem nie kusił o Kraków, by nie próbował się z braćmi, zali mocniejszy jest i ziemi pozbawić ich może! Zatraciła się wielka Chrobrego dziedzina i znak jedności widomy: królów korona!

MIKOŁAJ: (przy wzmiance o Krakowie zrobił minę, jakby przeniknął jądro sprawy)

KSIĄŻĘ HENRYK: Kogoż to w Rzymie pragną obdarzyć koroną?

JACEK: Tego, jenże dzieło Chrobrowe odnowi i Polsce jedność wróci.

KSIĄŻĘ HENRYK: Zali papież cesarzów niemieckich się lęka, lebo świętopietrza mu mało, kiej się za Chrobrym ogląda?

JACEK: Lęka się biskup Romy, iż krześcijańskie ziemie łupem pogan się staną, co ruskie książęta niezgodne w puch teraz rozbili i drogę ku nam już mają otwartą.

CZESŁAW: Ze wschodnich krain jako burza idą. Tartarami pogan tych zowią.

JACEK: A inszych sąsiadów nie mamy? Prusowie, Jadźwingi, Litwiny — i te najgorsze z nich Niemce, Teutony, co znakiem Krysta wojują. Każdy pazury wyciąga, każdy ziem naszych chciwy.

KSIĄŻĘ HENRYK: Niech tedy rzymski papa roty mi przyśle zaciężne i niech te grzywny srebra, co z mego księstwa w tysiącach na świętopietrze idą, na pomnożenie drużyny mojej odda — a pójdę, insze dzielnice podbiję, wygnam pomniejszych włodarzy i całą Polskę zjednoczę. Koronę Chrobrych zdobędę.

JACEK: Nie zdobędziecie, miłościwy panie! To wielkie dzieło święte te jest i przez krew bratnią ziścić się nie może.

KSIĄŻĘ HENRYK (z wybuchem): Jakaż inaczej się ziści? Czego chce Grzegorz Dziewiąty?

JACEK: Byście się, miłościwy ,panie, z Piastowym rodem zgodzili. Z Konradem, księciem Mazowsza i z Leszkiem, jenże w Krakowie i Sandomierzu panuje.

MIKOŁAJ (uśmiecha się szyderskotryumfalnie)

JACEK: Iżbyście zgodę na Odonica i Świętopełka rozciągli, pospołu się z nimi zjechawszy — i tym braterskim układem jedność ziemiom polskim wrócili. Niechby już i z seniorem, wedle Krzywoustowej woli ale z koroną u czoła!

KSIĄŻĘ HENRYK (powstał z tronu, groźny): Kto senior? Słyszysz, Gryfito?

MIKOŁAJ: Tak-ech rzekł.

KSIĄŻĘ HENRYK: Kto senior? Mówcie, na Boga! Czy Leszek, krakowski niedojda, jenże na stolicy oprzeć się nie umie i na Odrowążach jeno stoi? Alibo Konrad, jenże dzikim Prusom czoła stawić niezdolny, krzyżowych skludza rycerzy?

JACEK: Seniorem być ma — najgodniejszy!

KSIĄŻĘ HENRYK: Niechaj się papież do moich spraw nie miesza i klątwą nie grozi! Sam-ci wiem, co czynię. Wam zasię wiedzieć radzę, iż Jadwigę, żonę świętą mam, co u panien cystersek jest opacichą w Trzebnicy. Ona u Boga protekcją dla mnie wyprosi i przed klątwami okryje.

JACEK: Nie rozumiemy się, miłościwy panie, póki inszym językiem mówicie.

KSIĄŻĘ HENRYK (zszedł ze stopni): Słyszcie mnie, Odrowąże! Jam jest jeden śrzód Piastowego rodu, jenże koronę polską wskrzesić zdolen. Ja — lebo żaden! Ziemia moja kwitnąca jest i ludna, kiej insze w puszczach drzymią. U mnie są grody i miasta, iż nikaj równych nie masz. U mnie drużyna w żeleźne zbroice zakuta, kiej insze w skórach walczą. Moje Śląsko na przedzie, nikt ze mną porównać się nie zdolen. Bych jeno woje zaciężne miał, a hufce rycerskie pomnożył! Z wszystkimi książęty się zetrę, wszystkich powalę, zwyciężę.

JACEK: Woli niebios nie zwyciężycie, książę. Jest bowiem postanowione u Boga: — ilekroć ziemie polskie pogany, bądź insze nieprzyjacioły najadą, błogosławiony będzie wszelki oręż, walczący w słusznej obronie. Jeśli zasię Piastowic miecz przeciw bratu dobędzie, krew bratnia dalszą niezgodę i bunt wieczysty posieje. Zaprawdę mówię wam, iż to, co na krwie tej wznosicie, was samych dzień jeden nie przetrwa. Nie zjednoczycie Polski, pomiędzy braćmi walczący! I nie wskrzesicie korony, przez bratni bój pogrzebanej!

KSIĄŻĘ HENRYK (wrócił na stopnie): Dosyć! — Słyszał-żeś, Gryfito?

MIKOŁAJ: Cierpliwi jesteście, panie!

KSIĄŻĘ HENRYK: Są cierpliwości granice. Dziś jeszcze wici roześlę! W dwie niedziele ruszymy na Kraków!

MIKOŁAJ: Wesprzą was nasze kusze i sulice, osłonią gryfy na tarczach!

KSIĄŻĘ HENRYK: I cóż wy na to, mnichowie? Do kogóż teraz pójdziecie?

CZESŁAW: Ja tu ostanę, przeor wrocławskiego klasztoru.

KSIĄŻĘ HENRYK: Bych wciąż miał papieża na karku? Starczy mi biskupa, co ze mną bez końca się wadzi. (do Jacka) A ty, kanclerska głowo?

JACEK: Ja dalej pójdę prostować ścieżki Pańskie dla tych pokoleń, co przyjdą i prawdę słów moich zrozumią.

KSIĄŻĘ HENRYK (z wybuchem): Tedy do księcia Konrada?

JACEK: Tam i dalej jeszcze, między krzyżowych rycerzy. Poprzez Pomorze i Prusy — ku morzu!

KSIĄŻĘ HENRYK: Morze ci szumi?

JACEK: Szumi o krwawym świętego Wojciecha zgonie... szumi o królu Chrobrym, jenże królestwu polskiemu morską granicę wyznaczył...

Listy z Polskiego Zachodu

Wybrzeże polskie tętni pracą

Gdańsk — Gdynia, w lipcu.

Ostatni raz byłem w Gdańsku około 20. sierpnia 1939 roku. „Coś" wisiało wtedy w powietrzu i wrażenie tego „coś" zostało mi w pamięci niemal przez cały okres wojny. Ruch tu panował wtedy niezwykły. Setki turystów, zakonspirowanych członków SS lub NSDAP zalewało miasto, oczekując na wypadki, które miały nadejść. Dziesiątki oddziałów „Hitlerjugend" przemierzało ulice, waląc butami w jezdnię starego, polskiego Gdańska.

Chodząc po ulicach Gdańska nabierałem przekonania i utwierdzałem się w nim, że 32 miliony obywateli polskich żyje fikcją, że Gdańsk jest Wolnym Miastem, a Polska ma tu jakieś prawa. Byliśmy traktowani o wiele gorzej niż ubodzy krewni... Liczne istniejące wówczas zabytki polskiej kultury i Orły Białe, które nie czuły się dobrze w tej fali hakenkreuzów, nie potrafiły mi dodać optymizmu. Czułem się źle i obco...

Wojna, przewalając się przez Gdańsk, zostawiła tu swe potworne piętno. 70 procent miasta leży w gruzach. Ściska przybysza coś za serce, gdy widzi to bestialskie zniszczenie starego polskiego grodu. Setki i tysiące wypalonych kamienic, świecą pustymi wnękami, stosy gruzu, sterty kamieni, szkielety domów — oto widok przejmujący grozą.

Są ulice, podobnie jak w Warszawie, gdzie cisza panuje niezwykła. Brak tu jakiegokolwiek znaku życia, wszystko zapadło się w nicość, gdzie okiem sięgnąć panuje martwota i zanik istnienia...

A jednak... jednak Gdańsk wraca do życia, a jednak Gdańsk zrzuca z siebie śmiertelną maskę.

W październiku 1945 mieszkało w Gdańsku 6 i pół tysiąca Polaków — dziś mieszka tu 125 tysięcy. Wobec olbrzymich zniszczeń w Gdańsku położono w pierwszym rzędzie nacisk na odbudowę zakładów użyteczności publicznej. Do chwili obecnej odbudowano elektrownię, gazownię i rzeźnie, sieci wodociągowe i kanalizacyjne, budynki administracyjne. Uruchomiono komunikację tramwajową i autobusową. Co pięć minut kursuje autobus na linii Gdańsk — Gdynia — Gdańsk.

Od czerwca 1945 roku prowadzone są bez przerwy roboty związane z odbudową Politechniki, gdzie już 2.000 studentów uczęszcza na wykłady, a w bieżącym roku 26 inżynierów, absolwentów Politechniki Gdańskiej wprzęgło się w pracę nad odbudową zniszczonego kraju.

Odbudowano częściowo Akademię Lekarską i oddano gmach i budynki administracyjne, higieny, kliniki chirurgicznej, dziecięcej i parę innych o łącznej kubaturze 55 tys. m. W odbudowie znajduje się dalszych 6 pawilonów i wielki gmach kliniki ginekologicznej.

Ludzie tu mieszkający żyją w podobnych warunkach, jak żyje się w Warszawie. Ale owiani są jedną myślą i złączeni są jedną stalową wolą — Gdańsk musi być odbudowany, Gdańsk jest polskim na zawsze i Polacy pokażą, że będzie znowu tętnił życiem.

CIEKAWA WYSTAWA

Miarą prężności i niezwykłej energii z jaką rzucono się w wir pracy jest otwarcie wystawy w Gdańsku pod nazwą Dorobek Gospodarczy Wybrzeża.

Obrazuje ona to wszystko co dotychczas zrobiono na Wybrzeżu. Słusznie podkreślił delegat Rządu do Spraw Wybrzeża min. inż. E. Kwiatkowski, że został mile zaskoczony obesłaniem wystawy, na którą zapatrywał się pesymistycznie. Rzeczywiście musi ona wywołać zainteresowanie u każdego, kogo obchodzi rozwój naszego Wybrzeża.

W dawnym gmachu Gimnazjum Polskiego, plastycznie pokazano to wszystko, co dotychczas zrobiono na Wybrzeżu.

Reprezentowane są tu: Główny Urząd Morski, Biuro Odbudowy Portów, Gdańska Dyrekcja Odbudowy. Barwne plakaty pokazują nam porty Gdynię i Gdańsk, wykresy i cyfry ilustrują nam ich rozwój; pokazano dorobek Zarządów Miejskich, Wybrzeża, rozwój zakładów elektrycznych, przemysłu Wybrzeża, przeładunków węgla, rozwój przemysłu ludowego i artystycznego Wybrzeża, Zjednoczonych Stoczni Polskich, Morskiego Instytutu Rybackiego — słowem, wystawa jest przekrojem dotychczasowych osiągnięć, które znamionują wyścig z czasem, aby 509 km naszego Wybrzeża zostało jak najszybciej przystosowane do roli, jakie już spełnia w gospodarce polskiej i jaką ma spełniać w przyszłości.

CYFRY, CYFRY

Dzięki uprzejmości p. Aleksandra Skotnickiego otrzymujemy szereg ciekawych danych, dotyczących rozwoju życia na Wybrzeżu, które mają się ukazać w specjalnej pracy książkowej, a którymi dzielimy się z czytelnikami „Odry". A więc Biuro Odbudowy Portów. Po realizacji t. zw. małego planu odbudowy portów, polegającego na rozminowaniu portów, uporządkowaniu terenów portowych, urządzeń przeładunkowych, naprawy sieci elektrycznej, kanalizacyjnej i wodociągowej, rozpoczęto realizację t. zw. planu zasadniczego. Do dnia 1. lipca 1946 oddano do eksploatacji 6.800 m. b. nadbrzeży w Gdyni i 9 tysięcy m. b. w Gdańsku, odbudowano i wyremontowano w Gdańsku 14 magazynów i w Gdyni 25, naprawiono i wyremontowano w Gdasku 26 dźwigów, wyremontowano i odbudowano budynki administracji portowej, 36 tysięcy m³ w Gdańsku i 64 tysiące m³ w Gdyni, wyremontowano olbrzymi elewator zbożowy o pojemności 10 tysięcy ton, pogłębiono dno morskie do 9 m głębokości — prace wykonała ekipa radziecka.

Dziś do portów naszych w Gdyni i Gdańsku zawijają statki i okręty najrozmaitszych bander świata.

Prace związane z odbudową portów wiążą się ściśle z działalnością Głównego Urzędu Morskiego, którego biura mieszczą się w Gdyni, Gdańsku i Szczecinie, a działalnością swoją obejmują administrację trzech głównych portów rybackich i przystani — Helu, Jastarni, Pucka, Władysławowa, Elbląga, Kołobrzegu, Derłowa i Postomina.

Program GUM na rok 1946/7 przewiduje rozbudowę magazynów do 250 tysięcy m², budowę nowych dźwigów w liczbie 45, które zamówione są już w przemyśle hutniczym, przebudowę dużego falochronu w Gdyni itd.

Poza Gdynią i Gdańskiem Główny Urząd Morski rozpoczął odbudowę i eksploatację przejętych przez władze polskie odcinków portu w Szczecinie. Weszło tam już 45 statków z 40 tysiącami repatriantów polskich, wywieziono przez Szczecin 42 tysiące Niemców.

Charakteryzując przeładunek towarowy w portach Gdyni i Gdańsku należy podkreślić, że w okresie roku przeszło przez te porty 4 i pół miliona ton towarów, co stanowi od 35—50 procent ruchu przedwojennego, oraz przeszło około 6 tysięcy statków, co stanowi 42 procent ruchu statkowego.

WĘGIEL POLSKI JEDZIE DO SZWECJI

Bocznice kolejowe tuż przy porcie gdyńskim zapchane są wagonami. Żółte pasy na niebieskim tle wskazują szwedzkiego właściciela wagonów. Napisy: „Zwrócić natychmiast do DOKP Katowice", dowodzą, że wagony nie mogą stać ani chwilę bezproduktywnie. Na trasie Katowice — Gdynia jedzie bez przerwy węgiel dla Szwecji. Tu na bocznicach gdyńskich pociągi podjeżdżają pod olbrzymie krany, które mechanicznie przerzucają tony węgla na statki. Gdy w lipcu 1945 roku przeładowano 21 tysięcy ton, obecnie przeładunek dosięga 500 tysięcy ton miesięcznie. Za pomocą 5 taśmowców i 20 kranów Centrala Zbytu Produktów Przemysłu Węglowego przeładowuje 25 tysięcy wagonów węgla miesięcznie.

Nie ulega wątpliwości, że poza przystosowaniem portów do ich normalnej działalności, przed polskimi władzami morskimi stoi zagadnienie odbudowy środków transportowych. Celem skoordynowania prac związanych z tym zagadnieniem powołano do życia Zjednoczone Stocznie Polskie Gdynia — Gdańsk — Elbląg. — W ciągu roku stocznie odbudowały 400 tys. m² budynków stoczniowych, przeprowadzając 90 proc. remontu wszystkich maszyn i środków transportowych. W chwili objęcia Wybrzeża przez polskie władze stocznie zatrudniały... 5 pracowników, dziś pracuje 6.500. 74 wraki różnych statków portowych doprowadzono do stanu używalności. 72 statki zagraniczne korzystały z remontu w stoczniach polskich. Stocznie gdańskie ukończyły kapitalny remont oraz odbudowanie kadłuba „Morska Wola" i „Białego skoku", stocznie gdyńskie oddały po kapitalnym remoncie statek „Wisła" i „Dar Pomorza"; stocznia gdańska remontuje polski statek „Kraków", wyremontowano większą ilość kutrów rybackich. Rok pracy stoczni polskich — to 262 wyremontowane jednostki.

Na rok 1946/7 stocznie gdańskie przewidują budowę 6 węglorurowców do 2,5 tys. tdw, 2 statków drobnicowych po 700 tdw, 2 trampów po 4,5 tys. tdw i 4 holowniki. Całe to zamówienie opiewające na przeszło milion funtów szterlingów, otrzymano od towarzystwa „GAL". Stocznia nr. 3 w Gdańsku wykonuje remonty wagonów kolejowych, wypuszczając 50 wagonów miesięcznie, stocznia nr. 2 w Gdańsku urządziła montownie traktorów rolniczych, stocznia nr. 13 w Gdyni prowadzi montaż samochodów.

ODWODNIENIE ŻUŁAW I DLACZEGO „SOPOT?"

Na specjalną uwagę zasługują prace Wojewódzkiego Komitetu Odwodnienia Żuław, który wraz z Wojewódzkim Urzędem Ziemskim i Zjednoczeniem Energetycznym przystąpił do prac nad odwodnieniem Żuław „zatopionych" w 1944 roku przez cofające się wojska niemieckie. Prace nad osuszeniem tych terenów, będących dzięki swej wspaniałej glebie naturalnym śpichlerzem Gdańska — są w toku. Po przeprowadzeniu sieci wysokiego napięcia w dniu 1. maja ruszyły pompy. Dotychczas ubyło już 45 cm wody. Pompy pracują dzień i noc — bez przerwy. 9 pomp parowych i 12 elektrycznych jest w ruchu.

Jeszcze w bieżącym roku spodziewane jest zakończenie prac przy odwadnianiu Żuław. Na obszarze 100 tysięcy ha zostanie osiedlonych 60 tysięcy ludzi. Żyzna, bogata ziemia Żuławska zasili gospodarczo Gdańsk i całe Wybrzeże.

* * *

Społeczeństwo polskie nie bardzo orientuje się dlaczego nazwę Zoppot zmieniono na Sopot. Należy więc wyjaśnić, że w słowiańskim języku Sopot znaczy „strumień" i stąd etymologicznie wywodzi się nazwa osiedla nad wodą.

Sopot stał się modnym i eleganckim kąpieliskiem, 20 tysięcy gości tłoczy się codziennie na ulicach, w licznych lokalach rozrywkowych i na plażach.

Od Świnoujścia aż po Elbląg idzie spokojny, orzeźwiający „Wiatr od morza", który cała Polska jak długa i szeroka wchłaniać będzie przez wieki.

Czesław Ufnalewski

Książka Ziem Odzyskanych

Dr Józef Kostrzewski. Prasłowiańszczyzna. Zarys dziejów i kultury Prasłowian". Poznań, 1946. „Księgarnia Akademicka", z 68 rycinami i mapkami, str. 162.

Prehistoria jest i będzie nauką, której wartość tkwić będzie nie tylko w pojmowaniu jej jako suchej dziedziny, służącej hasłu „nauka dla nauki". Jej znaczenie jest szersze — zdajemy sobie z tego aż nadto sprawę. Każdy naród poszukuje pierwocin swego bytu i kultury nie tylko dla celów ściśle naukowych. Geneza każdego narodu jest potrzebna też dla celów wewnętrznych, uczuciowych życia narodowego i świadomość, że na danym obszarze „byliśmy już od wieków" wkracza w swych wnioskach w dziedzinę polityczną i społeczną narodu polskiego. Mityczne mroki przeszłości i geneza narodu polskiego miały na przestrzeni dziejów u nas różne teorie i koncepcje, wynikłe z badań naukowych i studiowania źródeł historycznych.

W latach ostatnich, gdy każdy rok niemal przyniósł coraz to nowe wyniki badawcze, ośrodki naukowe niemieckie, wykorzystując ogólną dezorientację, wynikłą nieraz z braku opracowywania syntez naukowych pokrewnych sobie gałęzi wiedzy, zaczęły łapać ryby w mętnej wodzie dla doraźnych lub obliczonych na dłuższą metę zysków politycznych. Tendencje te nabrały szczególnie ostrego natężenia po przyjściu do władzy hitlerowców, którzy dla wyraźnych celów politycznych postawili na nogi prehistorię niemiecką pod względem dotacji państwowych i innych form pomocy dla naukowców w zakresie badawczym i dydaktycznym. Szowinistyczne tendencje, zawarte w pracach prof. Gustawa Kosinny, prawdopodobnie z pochodzenia zniemczonego Mazura Koziny, z okresu poprzedzającego reżim hitlerowski, stały się hasłem dla dalszych wzorów po 1933 roku, a sam Kosinna został nazwany „ojcem prehistorii niemieckiej" przez naukę hitlerowską. Naturalnie tendencje te skierowane były przede wszystkim przeciw ziemiom polskim. „Das Weichselland ein uralter Heimatboden der Germanen" — to tytuł popularnej pracy Kosinny, która doczekała się mnóstwa wydań i rozchodziła się po całych Niemczech w niezliczonej ilości egzemplarzy. Naturalnie tendencje te spotkały się z ogólnym sprzeciwem nauki polskiej, w której najbardziej czynną postawę zajął prof. Kostrzewski z Poznania.

Ten niezwykle silny i wytrwały w swych dążeniach człowiek realizował w okresie międzywojennym ze zrozumieniem swych celów życia program, który sobie postawił. Bez przesady można powiedzieć, że połowę blisko wysiłków swego dotychczasowego życia poświęcił na stałą walkę z tendencjami zakusowymi nauki niemieckiej z niewątpliwą nieraz szkodą dla pracy badawczej. Zarówno w kraju, jak i na kongresach międzynarodowych reprezentował stale polski punkt widzenia na problemy prehistoryczne, związane z naszymi ziemiami, niewątpliwie w wielu wypadkach tendencyjnie fałszowane przez Niemców. Zarówno on jak i jego uczniowie odczuli to aż nadto wyraźnie. Wielu jego uczniów już dziś nie żyje, zamordowanych przez Niemców, a sam Kostrzewski pod przybranym nazwiskiem zmuszony był ukrywać się podczas okupacji niemieckiej, zmieniając stale miejsce swego pobytu.

Nowa wydana książka prof. Kostrzewskiego jest popularnie napisaną monografią kultury łużyckiej, o którą staczał ten uczony walki z nauką niemiecką. Autor zawarł w tej książce to wszystko, co było sumą jego dotychczasowych przemyśleń na temat tej najbardziej chyba charakterystycznej kultury, występującej na ziemiach polskich. Jest ta książka ważnym przyczynkiem do duchowego scementowania ziem, leżących nad Wisłą w stosunku do Ziem Odzyskanych. Przypuszczalna kolebka kultury łużyckiej leżała nie gdzieindziej, jak prawdopodobnie na Śląsku i Łużycach. Wobec pracy Lehra-Spławińskiego, która ma znaczenie ogólniejsze, jest ta książka dowodem i ilustracją kultury m a t e r i a l n e j ludności łużyckiej, ocenianej przez naukę polską dość powszechnie jako prasłowiańską. Wartość jej tkwi przede wszystkim w tym, że została napisana popularnie. Praca Lehra-Spławińskiego jest do czytania trudną dla każdego nieprzygotowanego do podjęcia tej lektury. Prof. Kostrzewski ujął zagadnienie naszego autochtonizmu popularnie i dostępnie. Wobec wprowadzenia nowego przedmiotu do powszechnego nauczania, jakim jest prehistoria, książka ta spełni poważne zadanie, jako lektura uzupełniająca zarówno dla wykładowcy szkolnego jak i wykładowcy kursów oświatowych, uniwersytetów ludowych, robotniczych itd.

Już dziś, po wojnie jest to trzecia praca popularna o prehistorii polskiej, wydana w związku z wprowadzeniem prehistorii jako przedmiotu obowiązkowego w działalności programowej Ministerstwa Oświaty. Jest to praca najlepsza, gdyż oparta na gruntownych studiach największego polskiego prehistoryka doby współczesnej. Ma jednak ta praca i trochę niedociągnięć, na które w słusznym interesie trzeba zwrócić uwagę. Pisana była ona w czasie okupacji niemieckiej zdala od biblioteki fachowej oraz przy niewyjaśnionych jeszcze wówczas dostatecznie naszych granicach zachodnich i przesunięciu się naszego organizmu państwowego na stare szlaki piastowskie. W wyniku tego zarówno materiał ilustrujący jak i niektóre mapki (np. na str. 157) nie zawierają materiału dowodowego (zabytkowego) z Ziem Odzyskanych. Autor widocznie nie miał czasu na staranniejszy dobór ilustracji, gdyż mimo wszystko publikowany jest przede wszystkim materiał naukowy, pochodzący z Wielkopolski lub z jej pogranicza. Mimo tych drobnych niedociągnięć jest to praca niezwykle cenna dla bibliotek kulturalno-oświatowych na Ziemiach Odzyskanych, zwaszcza że odczuwa się brak takiej pracy wobec łatwo dostępnej na tych terenach całej masy literatury popularno-naukowej niemieckiej, w której zagadnienia prehistoryczne komentowane są w myśl interesów niemieckiego parcia na wschód.

J. Antoniewicz.

Henryk Barycz: „Ślązacy w polskiej kulturze umysłowej na tle polsko-śląskich związków duchowych w przeszłości". Książnica Atlas, Warszawa-Wrocław. 1946.

Książka Ziem Odzyskanych nie należy już do rzadkości. Pojawia się na rynku księgarskim coraz częściej i coraz obficiej. Pomimo to brak niektórej publikacji, już raczej o charakterze specjalnym, niż propagandowo-informacyjnym, daje się niekiedy szczególnie dotkliwie odczuć. A już literatura piękna nie może się na razie poszczycić żadną pozycją, którą by można określić mianem „Książki Ziem Odzyskanych". Mam oczywiście na myśli oryginalną twórczość literacką. Rozpraw krytycznych i szkiców popularno-naukowych, owszem, już się parę ukazało.

Do ożywienia zaś ruchu wydawniczego na i o Ziemiach Odzyskanych przyczyniło się powstanie paru wybitnych ośrodków naukowych na Zachodzie, zarazem ośrodków wydawniczych. Mam na myśli przede wszystkim Instytuty: Śląski, Zachodni, Bałtycki, oraz Wydawnictwo Zachodnie. Jedną z najpoważniejszych placówek wydawniczych, która odrazu zadokumentowała swój rzetelny stosunek do nowego terenu pracy wydawniczej, jest poza tym Książnica Atlas, która w serii zatytułowanej „Oblicze Ziem Odzyskanych" już niejedną wartościową pozycję wypuściła na rynek. Z zakresu literatury, tj. ściślej krytyki i historii literatury wyszły tutaj dwa szkice, mianowicie: Szewczyka „Śląski trud literacki", i do pewnego stopnia uzupełnienie tegoż: rzecz o Ślązakach w polskiej kulturze umysłowej na tle polsko-śląskich związków duchowych w przeszłości, w opracowaniu Henryka Barycza. Książka ta, aczkolwiek mogąca budzić drobne zastrzeżenia, już choćby ze względu na brak wielu ciekawych nazwisk — zwłaszcza, gdy idzie o czasy nowsze, ma jednak swoje walory, a informując zwięźle i w oparciu o rozwój skłonności i dążeń Ślązaków na przestrzeni wieków, daje obraz wcale plastyczny, o wyraźnej widzialności postaci i tła, z czego i pożytek i satysfakcja. Wychodząc od czasów przynależności Śląska do państwa polskiego aż do roku 1339, kiedy Śląsk właściwie przodował w życiu umysłowym Polski, przechodzi autor do omówienia okresu drugiego, w którym rozróżnia dwie doby: pierwszą do połowy XVI w., wyróżniającą się uleganiem przyciąganiu kultury polskiej i drugą, będącą już tylko wegetacją polskości „pod obuchem germanizacji". W następnym okresie wskazuje na proces ponownego włączania się Śląska do wspólnoty duchowej Polski. Na tle rozwoju nastrojów i skłonności narodowych Śląska rysuje autor wyraźnie odcinające się sylwetki twórców i pisarzy, z których niejeden prosi się wprost o monografię. Taki np. Piotr Włost, fundator i budowniczy wielu kościołów, pionier kultury, nastawiony na kierunek duchowy romański, byle nie niemiecki, słusznie powinien pretendować do monografii polskiej, choć by tylko dlatego, że niemiecka robi z niego tendencyjnego Wikinga.

Z wartościową książeczką Henryka Barycza powinien zapoznać się każdy, kogo interesują sprawy kultury Śląska w przeszłości i teraźniejszości. **Wid.**

Nowinki z Pragi

Porównując polską prasę literacką z lipism literackich.. Takie są wypowiedzi teracką prasą zagraniczną, odnosimy wrażenie raczej niekorzystne dla polskich literatów praskich. Praska opinia literacka często sarka z pewnym zażenowaniem na teoretyczne rozprawki łódzkiej „Kuźnicy", śmieje się z „kobył" Jana Aleksandra Króla czy z tasiemcowych megalomanij Kałużyńskiego o „zamówieniach społecznych" czy gloryfikacji Jakóba Szeli na łamach „Wsi". Tak mocno wbijane w głowę czytelnikom „Odrodzenia" i „Twórczości" „europejskie" — jak wmawiają — zjawisko poezji Juliana Przybosia komentowane jest z jakimś tajemniczym uśmiechem zażenowania i jakiejś głębokiej litości względem przypadkowego Polaka, który zjechał do Pragi.

Większe już wzięcie wśród literatów czeskich od lirycznych apostrof Przybosia, posiada Artur Maria Swinarski, uważany przez Polaków, codziennie schodzących się na godzinkę w praskiej kawiarni Szroubka na Vaclavskem namesti za doskonałego komiwojażera własnych spraw i interesów. Każdy zagraniczny literat, który przyjeżdża do Pragi otrzymuje w mig trzykrotnie większe przydziały, niż zwykły szary obywatel Republiki. To się kalkuluje i dla Swinarskiego, tym bardziej, skoro czeski minister propagandy już ongiś radiowo zapowiedział, że właśnie z panem Swinarskim będzie kontynuował kulturalną współpracę polsko-czeską.

Ale mniejsza o te sprawy. Polskie pisma literackie obciążone są inną przewiną. Na przykład dlaczego polskiego czytelnika tak mało informują o przejawach kulturalnych w innych krajach Europy? Dlaczego na przykład nic nie wiemy o nowych prądach w literaturze angielskiej i w ogóle na zachodzie Europy?

Ale wróćmy do Czech. Republika czesko-słowacka posiada ni mniej ni więcej tylko 1280 pisarzy, autentycznych z legitymacją swej praskiej organizacji. Są to wyłącznie pisarze narodowości czeskiej, bo pisarze narodowości słowackiej należą do swego związku t. zw. „Spolku slovenskych spisovatelu" w Bratysławie.

My w Polsce posiadamy coś 300 i kilku pisarzy łącznie z kandydatami — w Czechach jest ich 1280! Trochę za dużo. I z tego też powodu wybuchł mały skandal w... Ameryce. Posłuchajcie. Oto co pisze doskonale redagowany, czeski, skrajnie lewicowy tygodnik literacki, wychodzący w Pradze pod kierownictwem redakcyjnym „teatrologa" E. F. Buriana „Kulturni Politika" w numerze 39 z dnia 12 lipca br. w artykule: „Prowadzimy". Cytujemy in extenso:

„Redaktorzy domagają się prawnej ochrony tytułu „redaktor". Mają rację. Ale co z pisarzami?

Tutaj sprawa jest więcej skomplikowaną. Nie jest łatwo zdefiniować, kto jest pisarzem a kto nim nie jest. (Łatwiej już jest określić, kto jako pisarz coś przedstawia). Kto chce, niech sobie mówi pisarz. A ponieważ się tak naprawdę dzieje, doszliśmy do rachunkowego stanu 1280 pisarzy. Z tego było już dużo śmiechu — ostatnio nawet na imprezach w czasie zjazdu pisarzy czeskich. Nie szkodzi nam ten śmiech, dopóki jesteśmy między sobą, dopóki jest on naszym śmiechem.

Ale przybył nam śmiech zagranicy. Amerykański PEN-club uchwalił, że wyśle antyfaszystowskim pisarzom w Europie po żywnościowej paczce. Aby tak mógł zrobić, wspomniany PEN-club zażądał w poszczególnych państwach wykazu nazwisk. Otrzymano z każdego europejskiego kraju po sto, dwieście nazwisk. — Z Czechosłowacji przeszło tysiąc.

Wynikł z tego wszystkiego huczek w USA i list bardzo znanego pisarza amerykańskiego. Ten list czytałem, ten list mogę pokazać. A pisze w nim ten amerykański pisarz, człowiek wobec nas bardzo przychylny:

„Z małej Czechosłowacji — gdzie ponadto sytuacja żywnościowa jest jeszcze najlepsza — nadeszło przeszło 1000 nazwisk! Tego owszem nie można będzie załatwić (to se ovszm neda zdelat!) nie patrząc na to, że nie każdego, kto kiedyś napisał jakiś tam rządek, można uważać za pisarza".

No — domyślicie się, co się stało. Tutejsza instancja, która otrzymała z Ameryki wezwanie, aby nominowała odbiorców literackich paczek, nie chciała nikogo pokrzywdzić. Chciała być przykładowo bezstronna, Istancja ta miała stwierdzone, że jest u nas przeszło 1000 pisarzy. Każdy z nich pisarz z legitymacją, każdy z nich już oddawna, jeszcze z tych czasów, gdy to mogło coś kosztować, wypróbowany antyfaszysta. Ciężki wybór — powiedział już Józef Jungman, (pisarz czeski d. m.) — a to miał tylko do wyboru między dwoma obiektami swej przyjaźni. Jak tedy miała wybierać owa instancja? Chyba nie według objętości brzucha. I tak, wysłała nazwiska wszystkich. Dopiero po wymianie listów, sporządzono nowy wykaz pięćdziesięciu najpotrzebniejszych. (Ciekawi nas ilu pisarzy i których podano z Polski?! — przyp. mój).

Prowadzimy. Jesteśmy na całym świecie i dla całego świata hors concours. Liczebnością pisarzy. Liczebnością amatorów na literackie paczki. Pozostaje tylko zapytanie, czy wystarczy jeden Drobny v Vimbledor, by naprawić sławę zyskaną w USA przez 1280 pisarzy wszechstronnie zasłużonych antyfaszystów?" (Drobny — czeski sportowiec, tenisista — dop. mój).

Tak brzmi artykuł czeskiego literata Pavla Eisnera, zamieszczony na łamach Burianowej „Kulturni Politiky", czeskiego tygodnika literackiego, który nie byłby złym wzorem dla polskiej prasy literackiej ze względu na swą śmiałą bogatość informacyj publikowanych wszechstronnie i po europejsku.

Artykuł ten nie powinien nas także odstraszać od większego zainteresowania się literaturą czeską, która wśród pakunkowych 1280 nazwisk posiada szereg pisarzy rzeczywiście wysokiego poziomu, bez posługiwania się krajowymi etykietami europejskości. Ciekawe zresztą są stwierdzenia na ten temat innego pisarza czeskiego, przebywającego obecnie stale w Ameryce — Egona Hostowskieho, który niedawno bawił w kraju na pierwszym powojennym zjeździe pisarzy czeskich, a później także na zjeździe Penclubów w Sztokholmie. Popełniając dygresję, musimy skonstatować, że ani ze zjazdu pisarzy czeskich, ani ze zjazdu Penclubów w Sztokholmie nie pojawiły się sprawozdania w polskiej prasie literackiej, aczkolwiek wiadomo, że z polskiej strony w zjeździe sztokholmskim brał udział i Antoni Słonimski i Jan Parandowski.

Ale wracajmy do Egona Hostowskeho, jednego z licznej delegacji czeskiej na zjazd Penclubów w Sztokholmie. W czasie swego pobytu w Czechosłowacji, Hostowsky z pełnym animuszem poudzielał prasie czeskiej mnóstwo wywiadów i napisał sporo artykułów.

Jeden z takich wywiadów umieszcza na czołowej stronie dziennik „Związku Młodzieży Czeskiej" p. t. „Mlada fronta", wychodzący w Pradze w numerze 148. Oto co opowiada Hostowsky:

„To co widziałem w Czechosłowacji, podoba mi się. Tylko wydaje mi się, że ludzie tutaj — jeden wobec drugiego są jak szerszenie. I pisarze. Szkoda, że nie doprowadziliśmy jeszcze do porządku kulturalnego eksportu, tymbardziej że właśnie w kulturze przodujemy. Posiadamy lirykę jedną z najlepszych na świecie".

Ten akcent o najlepszej liryce na świecie jest bardzo znamienny. Konfrontując tę wypowiedź z prawie indetycznymi wypowiedziami pism krakowskich, wartało by przeprowadzić analizę prawdy, kto właściwie ma rację w tym względzie, czy urzeczony polską poezją integralną Kazimierz Wyka, czy też obity Ameryką, Sztokholmem i Pragą, czeski pisarz Horkowsky? Bo i przekłady pojawiają się w Czechach; nie tak dawno awangardowy kwartalnik literacki wychodzący w Pradze p. t. „Kvart" zamieścił piękną wiązankę wierszy polskich w przekładzie czeskim — krótki wiersz Przybosia zamieszczono obok dłuższego wiersza Gałuszki.

A nawiązując do liryki czeskiej — Hostowsky tak dalej powiada:

„Tylko jak się okazuje problem przekładów uniemożliwia fakt, by liryka nasza stała się światową. Obcy, młodzi literaci, winni by otrzymywać od nas stypendia, studiować u nas, uczyć się. W ten sposób rodzą się najlepsi tłumacze. Robiliśmy to kiedyś, powinniśmy intensywnie to dalej kontynuować. Jesteśmy tutaj bogaci. W całej Ameryce jest tylko jedno literackie pismo".

A kilka wierszy niżej:

„Ale kiedy mówimy o „tysiącach", czy wiecie ile otrzymuje autor za artykuł w „Life"? („Life" amerykański magazyn literacki, który można za kwotę 25 dolarów zaabonować na dożywocie — przyp. autora). 1500 dolarów. A w „Saturday Ewening Post" przeszło 2000 dolarów".

To są ciekawostki, które zainteresują i pisarzy polskich — czyli literatura, pojęta jako handel i eksport. Kiedyż zwrócimy większą uwagę na eksport literatury polskiej?

Amelin Vonder.

Sprawy teatru

»Roxy« w Wrocławiu

„Roxy" komedia w trzech aktach Barry Conners, reżyseria T. Trzcińskiego.

Podobnie jak Katowice, tak i teatr miejski we Wrocławiu na zakończenie sezonu wystawił niefrasobliwą sztukę B. Conners'a — „Roxy". Wystawienie tej komedii w tutejszych warunkach ma to na usprawiedliwienie, że jest to jedna z popisowych ról J. Zaklickiej, stojącej na czele zespołu wrocławskiego, na prawdę wysokiej klasy artystki, której skala gry pozostaje niezmienienna, poczynając od Antygony poprzez taką „Roxy" aż do najlżejszej farsy włącznie.

Sztuka jest tak dawną, „żelazną" można powiedzieć, pozycją w repertuarze każdego prawie teatru, że omawianie jej pod względem treściowym lub tzw. „problemów" nie miałoby celu. Każdy bowiem bywalec teatru nie tu, to gdzie indziej widział ją już na pewno.

Istotną natomiast jest ocena reżyserii i gry aktorskiej. I tu, zanim się przejdzie do omówienia poszczególnych ról, trzeba podkreślić wyrównany poziom ogólny całego zespołu aktorskiego. Jest to znamienne, szczególnie, gdy się uwzględni, że teatr wrocławski ma sporo „narybku" scenicznego, częstokroć będącego pierwszy rok na scenie. Znać tu już wytrawną rękę dyrektora i reżysera T. Trzcińskiego.

Bezwątpienia najlepszą jest Zaklicka w roli tytułowej. Grę jej cechuje wielka prostota i bezpośredniość, brak jakiegokolwiek zmanierowania, doskonałe wczucie się w swą rolę. Kilka dłużyzn ratuje wybornie kapitalną mimiką, bawiącą publiczność bardziej może, niż banalne często kawały.

Nie wiem, czy która z artystek scen polskich ma tak doskonałą wymowę. Zaklicka mówi bez wysiłku, prawie szeptem, a słyszana jest doskonale przez całą widownię.

Z ról męskich sekundował Zaklickiej dobrze Alfred Łodziński jako ojciec-komiwojażer, właściciel względnie zamożnego domu, dwóch córek i małżonki — hetery. Łodziński, popularny „Aluś" ma świetne wyczucie granicy, dzielącej komedię od szarży. Scena „wyzwalania się" spod małżeńskiego pantofla ma to do siebie, że cały jej komizm zależy od aktora — decyduje tam bowiem przede wszystkim mimika i gestykulacja. A tu łatwo popaść w szarżę, której Łodziński szczęśliwie uniknął.

Lucjana Bracka w roli pani Harrington dobra, może tylko w niektórych momentach zbyt efektowna.

Dużą rutynę gry aktorskiej wykazuje Apolinary Possart, kreujący tu rolę Tony Andersona, młodego marzyciela i teoretyka, ślepego na uśmiech, jaki mu los zsyła w postaci zakochanej w nim Roxy.

Najsłabszą może, choć też na poziomie, jest Magdalena Grodyńska, jako druga córka państwa Harrington. Możliwe, że dla jej rodzaju talentu nieodpowiednia była ta rola, w każdym razie w grze wyczuwało się brak swobody, pewną sztywność i nienaturalność.

Pewne usterki zarzucićby też można i Kazimierzowi Witkiewiczowi, narzeczonemu Grace. W porównaniu jednak z okresem z przed kilku miesięcy, chociażby z postacią młodego Larsena z „Myszy Kościelnej", stwierdzić można znaczną poprawę poziomu gry aktorskiej.

Odnośnie Grodyńskiej i Witkiewicza podkreślić trzeba, że są to artyści, wchodzący dopiero w życie i że obecny sezon to pierwszy rok ich gry aktorskiej. Znajomość tego faktu pozwala pobłażliwie spoglądać na pewne niedociągnięcia.

Dekoracja Józefa Kassaraba poprawna.

Eugeniusz Paukszta

Teatr Ziemi Opolskiej

„Azais", komedia w trzech aktach L. Verneuille'a, w reż. W. Zdanowicza. Dekoracje M. Łańcuckiego.

Typowa bzdura francuska, ucieszne „nic", głupiutka błyskotka Verneuille'a, weszła na scenę w okresie najbardziej zawziętej kanikuły. Obok teatru zagościł „w dodatku" cyrk, ze skaczącymi pieskami i rowerzystą, co jeździ po linie. A więc: „Azais" — z arcyzabawnym, romansowym baronem Wuertzem, z zazdrosną baronową, ze szczęściarzem Borneretem, z zalotną Zuzanną, obleśnym wicehrabią, z wąsatym Konstantinowiczem, sprytnym kamerdynerem i z puszczalską śpiewaczką Gaby. Bomba śmiechu, wielkie „coś". Coś — niby budka z wodą sodową i niby „numer" z sąsiedniego cyrku.

Baron Wuertz ma forsę, córkę i stosunki, a Borneret ma pecha, — lecz pech nie chce już Borneretа. Klepał chłopak biedę, dopóki nie uwierzył w „filozoficzną teorię" baronówny Zuzanny, w świetną gwiazdę swego przeznaczenia. Obudziła panna poczucie pewności w chłopcu, nabrał tupetu — i co? Niech żyje tupet! Zyskuje zaufanie Wuertza, zostaje dyrektorem wielkiego hotelu, robi razem z baronem milionowe interesy, żeni się wreszcie z Zuzanną i jest sobie panem „na pół Europy". — Głupstwa, hece, śmieszności. Trochę przy tym wklęsłego zwierciadła karykatury i wypukłego lustra groteski. I nic, tylko wielkie zero błahostki.

W roli barona wystąpił Zdanowicz. Gdyby komedię wyreżyserował w wymiarze pełnej groteski, byłby postacią interesującą. Przedstawienie nie miało jednak jednolitego wyrazu artystycznego i groteska kłóciła się tu z przewagą elementu realistycznego. Grę aktorów obniża przy tym szablon efektów rewiowych. Przekonywująco zagrali swe role jedynie **Orłowski** (Borneret), **Bolska** (baronowa), **Posiadłowski**, jako buchalter i maszynistka — **Żyborska**. Zuzannie brakowało subtelności, Marecki (Stromboli) czuł się w swej roli, jak w ciasnym ubraniu, Konstantinowicza zdyskredytowały jasełkowe wąsy. Gaby musi uczyć się dykcji, a kamerdyner Franciszek powinien zrozumieć, że stylowe żaboty pod brodą, w nowoczesnym domu barona, „trącą myszką" i pachną naftaliną.

Publiczność biła brawo i wywoływała aktorów przed kurtynę. Oklaskiwano również dekoracje. Zgoda, — te były ładne; szczególnie w krajobrazie.

Nie podnoszą smaku takie „Azaisy" i w złym kierunku kształtują teatralne upodobania publiczności. I tylko brak pieniędzy usprawiedliwia tego rodzaju imprezy, brak pieniędzy na wypłacenie gaży aktorskiej, kanikuła — i „ogórkowy" dla teatru okres.

W. Illouszek.

Nagroda Literacka
Czytelników »Odry«

Pierwsza lista składek

Mieczysław Markowski, Katowice	1.000 zł.
Dyr. Tadeusz Matula, Katowice	2.000 zł.
Wilhelm Szewczyk, Katowice	2.000 zł.
Wojciech Żukrowski, Głuchołazy	2.000 zł.
Zbyszko Bednorz, Chorzów	1.000 zł.
Bogdan Butryńczuk, Katowice	1.000 zł.
August Grodzicki, Katowice	1.000 zł.
Bogumił Miklica, Katowice	1.000 zł.
Aleksander Widera, Katowice	1.000 zł.
Stanisław Ziemba, Katowice	1.000 zł.

Dalsze składki prosimy kierować na konto P.K.O. Katowice III-4960 z dopiskiem „Nagroda Literacka" „Odry".

Komunikat

AKADEMIA HANDLOWA W POZNANIU

Absolwenci Akademii Handlowej, którzy uzyskali dyplom w latach 1926—1946, proszeni są w celach rejestracji i zrekonstruowania zniszczonych akt o nadesłanie do Sekretariatu Akademii Handlowej następujących danych: 1) imię i nazwisko, 2) data i miejsce urodzenia, 3) numer i data wydania dyplomu, 4) zajmowane obecnie stanowisko, 5) dokładny adres.

Od Redakcji

Redaktor Naczelny „Odry" kol. Wilhelm Szewczyk powrócił z urlopu i objął urzędowanie.

Glossy i notatki

WYDAWNICTWO ZACHODNIE I „JANTAR"

W sprawach zachodnich zaszły ostatnio dwa dosyć ważne wydarzenia kulturalne. Pierwszym jest powstanie nowej firmy wydawniczej, drugim wznowienie przedwojennego „Jantara", miesięcznika naukowego Instytutu Bałtyckiego. Kiedy swego czasu pracowity pisarz i naukowiec oraz entuzjasta Ziem Odzyskanych, Stanisław Helsztyński, wystąpił z inicjatywą dostarczenia szkołom świetlicowym i szerszemu ogółowi książek o tematyce zachodniej i zaczął tę swoją inicjatywę realizować — ucieszyło to nas wielce. Cóż, kiedy sprawa dziwnie utknęła, względnie posuwa się stanowczo za wolno. Na tym tle pragniemy podnieść powstanie nowej instytucji wydawniczej, która zaledwie po rozpoczęciu istnienia wydała w niemal rekordowo krótkim czasie aż cztery cenne książki. Mowa tu o **„Wydawnictwie Zachodnim"** w Poznaniu, i o jego publikacjach: „Niemcy rozgromione?", „Odzyskane ziemie — odzykani ludzie", „Łużycom wolność" oraz „Były i będą nasze". Zanim jeszcze ukażą się na łamach naszego pisma recenzje o tych książkach, już dziś przecież trzeba podnieść fakt, że pozycje te są już czymś, co można bezzwłocznie wstawić na półki bibliotek tak publicznych jak i prywatnych i to nie tylko na Ziemiach Odzyskanych.

Również wydarzeniem jest, jak to już zaznaczyliśmy, wznowienie **„Jantara"**, noszącego podtytuł: „Przegląd naukowy zagadnień pomorskich i bałtyckich". Ogrom zagadnień pomorskich i bałtyckich znajdzie tu swoje omówienie. Przed pismem tedy stoją wielkie zadania zadania nie tylko roztrząsań problemów i ich popularyzacji wśród społeczeństwa, ale także zadania wiązania narodu z morzem i wybrzeżem oraz wiązania Polski z państwami skandynawskimi i całym światem.

Zeszyt pierwszy „Jantara" zawiera m. in. następujące prace: B. Srockiego: „Polska a Bałtyk w przeszłości i obecnie", St. Srokowskiego „Problem Odry", Wł. Dziewulskiego „Upadek gospodarczy Pomorza przedodrzańskiego od XIX w.", tudzież szereg ciekawych materiałów, dokumentów i recenzje. Dyr. J. Borowik w artykule wstępnym omawia prace Instytutu Bałtyckiego, rzutując je i zestawiając z założeniami swego naukowego organu publikacyjnego.

„Życzymy „Jantarowi" jak najlepszego wypełniania postawionych sobie celów.

CZYTAMY PRASĘ

Jak to bywa w okresie walki, każde pismo stanowi dziś przyczółek uderzeń ideologicznych, światopoglądowych. Wokół pisma grupuje się dobrany zespół współpracowników. Czasem z pewnymi, określonymi czasopismami pewni pisarze nie chcą za żadną cenę współpracować, czasem zaś tej współpracy nie pragną same redakcje. I nie ma co z tego powodu szat rozdzierać. Może jest tak nawet i dobrze. Żółkiewski jeszcze nigdy nie wydrukował artykułu w „Odrze" a Hanny Malewskiej nie widziałem w „Kuźnicy". Zagórski zaś (wyjątek) potwierdza tylko regułę.

„Twórczość" pragnie być chyba daleka od tych walk. Założenia jej raczej symbolizują się w tytule obligującym do zainteresowań wszelką pracą twórczą bez różnicy genealogii ideowej twórcy. Dlatego właśnie trochę zastanawia pewna jednostronność w tym piśmie, które naszym zdaniem, pomyślano jako magazyn literacki. Mimo to przecież ten miesięcznik literacko-krytyczny, pozostający pod redaktorstwem **Kazimierza Wyki** zdobył już sobie godną pozycję wśród krajowych periodyków kulturalnych.

Ostatni numer **„Twórczości"** (nr 6 z czerwca) dostarcza, wzorem poprzednich zeszytów, obfitej lektury zarówno w prozie jak i w pracach krytycznych. Prozę reprezentuje tym razem Roman Bratny, dający silne przeżycie w swym powstańczym opowiadaniu, Tadeusz Breza fragmentem powieści, stanowiącej ciąg dalszy głośnych „Murów Jerycha" oraz Jan Wiktor. W przedstawionym fragmencie Tadeusza Brezy („Kaperowanie poety") potwierdza się raz jeszcze słuszność wysokiej oceny kunsztu pisarskiego tego pisarza. Budzi natomiast zastrzeżenia tematyczna strona wybranego fragmenu (długa, restauracyjna rozmowa na temat Boga), w którym nie raz musi się poczuć dotknięta godność pisarza i czytelnika katolickiego. Być może, że tak drastycznie i niesmacznie wypada ten fragment Brezy w oderwaniu od całości, ale też dlatego trzeba się zawsze dobrze zastanowić nad drukowaniem tzw. „fragmentów powieści". Rzecz Jana Wiktora w ostatniej **„Twórczości"**, nosząca tytuł „Na ruinach" jest reportażem refleksyjnym, manifestem pełnym pasji, artykułem politycznym, opowiadaniem rozwichrzonym, słowem prozą gatunkowo nieokreśloną, określoną za to uczuciem. Uczuciem w stosunku do ludzi niemieckich i ruin nienazwanego miasta śląskiego, wibrującym raz gniewem, raz tkliwością, raz bólem. Wiele prawd, znajdujących się w utworze Jana Wiktora winno się stać własnością całego społeczeństwa. Spojrzenie pisarza jest przeraźliwie ostre. W tym spojrzeniu na Ziemie Odzyskane, ściślej mówiąc, na wyzwolony Śląsk, maluje się bezgraniczne ukochanie wróconych Macierzy dziedzin piastowych. To każe mu być surowym dla Niemców, sprawców wojny i ruin, każe mu być bezlitosnym dla wszelkiego rodzaju łobuzów i szkodników, szabrowników i nieuświadomionych głupców jakich wielu przywędrowało na Ziemie Odzyskane. „Tej bogatej ziemi daliśmy afisz i nędzę bez ochrony. I coś więcej jeszcze. Bezkarna nikczemność niegodnych synów, hańbiących imię, pozganiana ze wszystkich krańców. A tutaj trzeba obwarowywać murem z rąk wybranych, z piersi twardych, z charakterów niezłomnych, jednostek twórczych, będących przykładem pracowitości, wypełniających obowiązki i świadomych zadań, ciążących na każdym z nich. Wbić miecz polski i w cieniu jego budować życie wysiłkiem całego narodu".

Wiktor umie także ocenić zdumiewający wyczyn dokonanej pracy, pisząc w wspomnianym artykule: „Budujemy nie raz o głodzie na ruinach i zgliszczach. Spójrzmy na przestrzeń ostatniego roku, przypomnijmy sobie obraz zniszczenia powojennego i porównajmy ze stanem dzisiejszym. Śląsk każdą piędzią stwierdza to, co sprawił wysiłek syna tej nieszczęśliwej, a tak bogatej ziemi. Niemal z nicości dźwignął przemysł, z martwych wskrzesił i pracą nadludzką ożywił kopalnie i huty. Nie raz mam wrażnie, że przy maszynach to nie transmisyjne pasy, ale żywe żyły i mięśnie górnika i hutnika, że to nie ogień w piecach, ale płonąca krew, wytoczona z żył tego ludu, pracującego dla powszechnego dobra".

Jan Wiktor jest w tym swoim głębokim i poważnym stosunku do Śląska wśród pisarzy polskich postacią zupełnie wyjątkową, dlatego też cieszy nas ta cenna pozycja w „Twórczości".

Oryginalna poezja Jana Smutka i dialektyczna Koloniewskiego nie zajmują zbyt wiele miejsca w omawianym miesięczniku, w którym za to poza wspomnianymi pracami znajdujemy jeszcze m. in. długą rozprawę krytyczną Kazimierza Wyki o Sienkiewiczu — przynoszącą rzeczywiście kilka nowych aspektów w sprawie różnych ocen i podejść do autora „Trylogii" oraz gruntowne i ciekawe studium zmarłego niedawno Józefa Feldmana na temat „Rozkładu mieszczaństwa".

Osobnej recenzji, przekraczającej ramy tej rubryki wymaga gruby tom miesięcznika **„Nauka i Sztuka"** (za maj — czerwiec), pozostającego pod redakcją **Juliana Krzyżanowskiego i Stefana Kuczyńskiego.** Z pozycji szczególnie ważnych i ciekawych notujemy rozprawę Juliana Krzyżanowskiego o stosunkach i pokrewieństwach literackich Sienkiewicza z literaturą rosyjską, pracę Suchodolskiego „Filozofia mitu", trzy studia z dziedziny politycznoustrojowej (Konstanty Grzybowski zestawia pojęcie demokracji z marksizmem, A. Krzyżanowski mówi o podstawowych pierwiastkach demokracji, St. L. Herbert omawia sprawę Ligi Narodów); dalej na uwagę zasługują: rozprawa Czesława Jastrzębca Kozłowskiego pt. „Zagadnienie moralności autotalicznej", praca Jerzego Kowalskiego o autonomii zjawisk świata duchowego, Hugona Kowarzyka „Życie jako zagadnienie elektrofizyczne". Prócz tego miłośnik Chopina znajdzie w „Nauce i Sztuce" zestawienie wzajemnych opinii wielkich romantycznych twórców z różnych dziedzin sztuki o sobie, pisze o tym w pracy pt. „Chopin i poeci" Paulina Czernicka. Także w świat sztuki wprowadza dialog Wojsława Mole. O nowych drogach historiografii polskiej pisze Henryk Barycz, a Stefan Kawyn próbuje ocenić naukowy dorobek wybitnego historyka literatury Juliusza Kleinera (w czterdziestolecie jego pracy). Z poetą współczesnym Ameryki Robertem Frostem zaznajamia nas Stanisław Helsztyński. Numeru dopełniają przeglądy kulturalne.

Zby.

Co robią Niemcy

Z inicjatywy księdza Karola Pehla odbył się ostatnio we Frankfurcie nad Menem cykl odczytów dla młodzieży katolickiej pod hasłem **„Młodzież katolicka nawołuje do jasności i opamiętania".** W cyklu odczytów dwa szczególnie były jasne i znamienne dla nowych nastawień, ujawniających się w nielicznych jeszcze na razie kręgach katolików niemieckich. **Ksiądz Eckert** z frankfurckiego kościoła św. Bernarda **mówił o winie kolektywnej.** Prasa niemiecka, pisząc sprawozdanie z jego odczytu uchwyciła z radością powiedzenie, że **Niemcy odrzucają teorię winy kolektywnej, ponieważ głoszona ona jest przez prasę, radio, a więc środkami propagandy, którym Niemiec przestał ufać.** Tymczasem znalazły się w odczycie Eckerta ciekawsze zdania, z których wynikało, że do poznania prawdy nie jest zbyt daleko, jeśli się tego pragnie. Jak Niemoeller z pasją i gwałtownością tak Eckert spokojnie, lecz dobitnie stwierdził, że jednak wszyscy Niemcy, a w każdym razie stanowcza ich większość — są winni. „Czyż nie obserwowaliśmy nieraz Polaka-robotnika, który w środku zimy szukał w śmietniku resztek jedzenia? Nikt jednak z nas ze strachu przed denuncjacją nie dał mu czegoś do zjedzenia, ani nie zaprosił go do ciepłej izby. Nie jest usprawiedliwieniem pogląd, że równało by się to samobójstwu. **Tylko dzięki zgodzie tchórzliwych możliwe były wszystkie te potworności i zbrodnie'.**

Drugiego wieczora mówił Walter Dirks na temat: **„Czym jest dla nas ojczyzna?"** Oto ciekawsze zdania: „Nasza ojczyzna dziś to wspólnota losów z jednej strony, i pojęcie państwa z drugiej. Państwa, którego jeszcze nie mamy, ale do zbudowania którego musimy dążyć. Na miejsce patriotyzmu i nacjonalizmu wkroczyć musi pojęcie miłości ojczyzny (!). Dlatego oddawać się musimy polityce, aby tę naszą miłość rozprzestrzeniać daleko poza granicami naszego narodu i państwa".

Tak przemawiano we Frankfurcie **do młodzieży niemieckiej, która ma wiele kłopotów. Daje ona się podzielić na cztery wyraźne grupy. Pierwsza grupa to maleńka garstka aktywistów,** świadomych przemian, jakie w Niemczech zaszły, współpracująca z partiami politycznymi. **Druga grupa,** o wiele liczniejsza, to **przesiąknięci na wskroś hitleryzmem powracający z wojny młodzi żołnierze,** którzy w panującej wciąż jeszcze tu atmosferze strachu i serwilizmu teroryzują resztę młodzieży i zmuszają do rozmaitych, nierozsądnych wystąpień. Ich dziełem są tajne organizacje, oni buntują uniwersytety. **Trzecią grupę stanowi gros młodzieży niemieckiej, oczekującej rozwiązania swego trudnego problemu od innych, nie angażującej się ani po jednej, ani po drugiej stronie, pracującej i uczącej się chętnie.** Można by o niej powiedzieć, że to jest dobra młodzież z natury, o ile takie określenie w stosunku do Niemców przyjąć można. W jej imieniu na wielkim **„Dniu młodej generacji"**, jaki odbył się w amerykańskiej strefie, 18-letni Peter Schele z Luedenscheidu wołał o **Generała Amnestię** dla szerokich warstw młodzieży. Niepotrzebnie wytłumaczyła mu prasa, że podejście takie jest niewłaściwe, bo młodzież niemiecka jest w gruncie rzeczy **nie obciążona** i jako taka czuć się powinna. **Czwartą grupę młodzieży stanowią elementy kryminalne,** stykające się często z określoną tu przez nas grupą drugą, elementy, których dziełem są ustawiczne zabójstwa, kradzieże, gwałty, wielu młodych z tej grupy, jak i z grupy drugiej należy do nowej policji niemieckiej oraz do policji kryminalnej.

Powrót jeńców do kraju, przeważnie ludzi młodych, coraz bardziej gmatwa problematykę młodzieżową w Niemczech. Na razie z Anglii i Ameryki zwalnia się t. zw. **białych Niemców,** którymi są wybrani w obozach przeciwnicy hitleryzmu i trzymani potem osobno na specjalnych kursach, gdzie według **planu brytyjskiego** „zapoznało się ich z ideami demokracji. Z początkiem lipca wrócił do kraju transport 7.000 **„białych".** Nas ciekawi jedynie, na jakiej podstawie uczyniono wybór. Czy wystarczyło samo oświadczenie danego jeńca, lub też fragmenty jego zachowania się w obozie? Bo jeśli chodzi o powrót z obozu do kraju, to antyfaszystów znaleźć łatwo.

Tymczasem dekret o oczyszczeniu społeczeństwa niemieckiego z elementów faszystowsko-hitlerowskich sabotowany jest w bezprzykładny sposób. Utworzone zostały w Bawarii np. i gdzie indziej t. zw. **Spruchkammer,** rodzaj łaźni oczyszczających i konfesjonałów, przez które przejść musi każdy Niemiec, zawikłany w robotę lub sympatie hitlerowskie. Monachijska „Die Neue Zeitung" donosiła w ciągu maja i czerwca ustawicznie, że dzieją się tu nadużycia, a oficjalne władze amerykańskie oświadczyły, że **tym samym poderwane zostało zaufanie, jakie Amerykanie mieli do Niemców oddając w ich ręce całą akcję oczyszczającą.** W wielu powiatach proponowani na **oskarżycieli** — bo tak się nazywa najwyższy urząd w Spruchkammer — odmówili przyjęcia tego urzędu, na skutek anonimowych listów z pogróżkami, jakie natychmiast otrzymali, prób wymuszenia fałszywych orzeczeń, a nawet otwartych gwałtów. W powiecie Dachau np. oskarżycielem został dr. Waser, SA-Anwaerter i członek hitlerowskiej organizacji studentów. W powiecie Landshut dzieje się tak (jak pisze wspomniana „Die Neue Zeitung"), że „małych parteigenossów się wiesza a dużych się nie zauważa". Oskarżyciel z Neunburga, komunista, oświadczył, że rezygnuje ze swego urzędu, bo musiał by wyrokować co do swego szefa, właściciela dużej fabryki, pozbawiając siebie zarówno doskonałej pracy jak i możliwości jej uzyskania gdzie indziej. W powiecie Strausing zaproponowano to stanowisko partii CSU, która go nie przyjęła, podając, że w całym powiecie nie ma w jej szeregach nikogo, kto by był całkowicie nieobciążony winami. W powiecie Traunstein oskarżyciel okazał się łapownikiem, w Kempten - mieście podpułkownikiem na froncie wschodnim, w powiecie Berchtesgaden komuniści oskarżają chrześcijańskich demokratów o intrygi przeciwko Spruchkammer, a socjaldemokraci żartują, że Spruchkammer powinna się nazywać Bruchkammer, bo denazyfikuje się tu tak, by nikomu nie sprawić najmniejszego bólu.

Amerykanie mają z tego powodu zmartwienia, ale Anglicy też mają swoje, choć z innego powodu. Wielkim człowiekiem w strefie angielskiej jest socjaldemokrata Kurt Schumacher. Zawołaniem bojowym w całej strefie angielskiej stało się jego ostatnie powiedzenie: „Jak długo nie znamy granic Niemiec, nie możemy kształtować państwa". Powiedzenie to ujęło także jego osobistych wrogów, a Anglicy mają kłopot tego rodzaju, że na każdym wiecu, jaki się tam teraz odbędzie, cytują Schumachera, domagają się rozstrzygnięcia tej sprawy jak najszybciej. Nie obędzie się naturalnie przy tym bez napomknięcia o granicach wschodnich, o nieznośnych Polakach. Walter Ulbricht polemizując z Schumacherem w n-rze 51 „Neues Deutschland" pisze, że prawdziwą tragedią Niemiec jest rozbicie klasy robotniczej, a nie nieustalone granice.

* * *

Mały kwiatuszek z niwy niemieckiej. „Nuernberger Nachrichten" z dnia 12 czerwca doniosły o pewnym znanym fabrykancie z okolicy Norymbergi następująco: Od roku 1933 należał do partii, ale przystąpił do niej, jak twierdzi, „z ciężkim sercem". Potem był aż do końca wojny funkcjonariuszem Gestapo. A oto tłumaczenie fabrykanta przed sądem: — Przez moje wstąpienie do Gestapo uniknąłem służby w wojsku, a tym samym uratowałem siebie od gorszego jeszcze losu, mianowicie od obowiązku strzelania do żołnierzy amerykańskich, moich oswobodzicieli, heroldów demokracji, co złamało by mi serce (dosłownie: Ich kann ehrlich sagen, dass mir das das Herz gebrochen haette). I wyobraźcie sobie, drodzy czytelnicy, fabrykant został... uniewinniony, otrzymał swoją fabrykę i uchodzi za antyfaszystę. „Nuernberger Nachrichten" nawet się nie oburzają, uśmiechają się tylko i kręcą z niedowierzaniem głową. To samo i nam czynić wypada.

* * *

„Frankfurter Rundschau" nr. 42 małym felietonikiem „Truemmerverwertung" przyczyniła się do odsłonięcia kulisów wielkiego wydarzenia historycznego, mianowicie Anschlussu. Oto we Frankfurcie nad Menem znaleziono setki tysięcy zalepionych i niestwierdzanych kopert z odpowiedziami w plebiscycie austriackim na temat przyłączenia Austrii do Niemiec. W plebiscycie, jak wiadomo, 99 proc. Austriaków „oświadczyło" się za Anschlussem. Tymczasem głosy austriackie, niepoliczone i nieprzejrzane, wywieziono do Frankfurtu i złożono w piwnicach Magistratu. (Do ostatnich wyborów w mieście użyto owych austriackich kopert). Jak to niespodziewanie odkrywa się wielkie fałszerstwa wyborcze, jeśli fałszerze są zbyt naiwni.

* * *

W Berlinie powstało nowe pismo, wychodzące na razie trzy razy w tygodniu. **Jest nim „Der Sozialdemokrat".** Nakład pisma wynosi 150.000 egzemplarzy. Z okazji powstania pisma telegramy gratulacyjne przyszły od angielskiej partii pracy, od sekretarza amerykańskich socjalistów i od pani... Roosevelt. Ta ostatnia pisze w swoim telegramie: „Nadzieję na trwały pokój łączę z powstaniem silnej organizacji robotniczej w Niemczech".

Tak to świat już patrzy na Niemców innymi oczyma, już widzą w nich partnera w polityce, handlu i kulturze. Jedynie my nie przechodzimy żadnej ewolucji, co zresztą utrudniają warunki uczuciowe, jakie zawsze istniały między nami a nimi, a jakie pogłębiła wojna. Niemniej trzeba już także zacząć planować w sprawie niemieckiej. **Uczucie nie jest polityką, a w polityce nie wolno się spóźniać. Uczucia mają długą historię i utrzymują się niezmienione przez wieki, polityka zmienia się często i chętnie.** Do sprawy tej powrócimy w osobnym artykule.

wisz.

Strofy serdeczne

Po wydanej konspiracyjnie broszurce p. t. „Śląsk wierny Ojczyźnie" i dostojnych „Glossach śląskich" zadebiutował Zbyszko Bednorz „Strofami Serdecznymi"*) o Górze św. Anny i powstańcach śląskich jako poeta. Dwie ostatnie książeczki wydane zostały przez znanego bibliofila Jana z Bogumina Kuglina., jako „druki niesprzedażne, przeznaczone do wyłącznego użytku autora i typografa". Zachowując pełne uznanie dla doskonałych pod względem estetycznym wydawnictw zasłużonego miłośnika książek., wolelibyśmy jednak, ażeby obie książeczki Bednorza ukazały się były w wydaniach popularnych, do czego zresztą wydają się być przede wszystkim predestynowane. Podobno „Glossy śląskie" już się jako takie drukują. „Strofy serdeczne" powinny również zabłądzić pod strzechy. Reprezentują bowiem rzadki naogół u nas rodzaj i poziom literacki., przystępny prostemu czytelnikowi, a zarazem nie budzący grymasów u wybrednego. Sam poemat może mieć miejsca lepsze i słabsze., ale i te ostatnie uświęca serdeczne ustosunkowanie się autora do spraw ziemi i ludu śląskiego, a wnikliwość w odniesieniu nawet do niektórych drastycznych zagadnień śląskich uwydatniła się przede wszystkim w konspiracyjnym „Śląsku wiernym Ojczyźnie". Mające się ukazać drugie wydanie tej broszurki już w wolnej Ojczyźnie., napewno zostanie przyjęte życzliwie i rozejdzie się prędko. Powinno wyjść również poza granice Śląska, aby tam budzić obiektywne zrozumienie dla niektórych, fałszywie pojmowanych problemów.

*) Zbyszko Bednorz: Strofy serdeczne — wyd. Jan Kuglin.

„Strofy serdeczne" wydane zostały z okazji dwudziestopięciolecia bojów o Górę świętej Anny w trzecim powstaniu śląskim i stanowią nowy dowód czci, jaką lud śląski darzy pamiątkowe już teraz miejsce, gdzie po zburzeniu pomnika niemieckiego widnieje napis „Tu na polskiej ziemi czci Polska bohaterski czyn powstańca śląskiego". Poematowi Bednorza, będącemu jedną z pierwszych poetyckich prób przedstawienia bojów powstańczych o świętą Annę, przyświeca w założeniu to samo zadanie, jakie spełnia wspomniana tablica pamiątkowa. Społeczna wartość „Strof serdecznych", tak charakterystyczna dla wszelkiej twórczości, jaka się rodzi z atmosfery, wytworzonej przez ducha walki i pracy, jeszcze raz woła o uprzystępnienie ich szerszej publiczności, szkołom, świetlicom i t. d. Wkład, jaki Bednorz przez twórczość swą wnosi do literatury śląskiej jest pozytywny zarówno ze względu na jego wartości moralne, jak artystyczne. Credo ideologiczne autora „Strof serdecznych" zasadza się, jak zresztą cała tradycjonalnie pojęta myśl ludowa na Śląsku — na katolickiej wierze w Boga i na patriotyźmie, płynącym z ducha tej samej wiary. Wprowadza nas w poemat przypomnienie kultu do Matki Boskiej Częstochowskiej, duchowej Patronki i Królowej Korony Polskiej. Zaufanie duchowemu przewodnictwu katolickiej Polski, umiejscowionemu na Jasnej Górze, stanowi rękojmię dla zwycięskiego przebrnięcia przez plebiscyty i powstania. Jasna Góra i Góra świętej Anny urastają w poemacie do znaczenia symboli.

„W Częstochowie Matce Boskiej
Skowronki jak ministranty
Dzwonią..."

Wizja dzwoniącego polskiego pokoju, otwiera ten poemat, a wizja polskiego zwycięstwa kończy go i przywołuje pamięć wizji pierwszej.

„O święta Anno — Stróżko Odry
Bądź pozdrowiona
Białoczerwonym
Godłem".

Słowo Zbyszka Bednorza jest patetyczne i dostojne. Zarazem bije z niego prostota i realizm opisu. Pomiędzy strofy zręcznie wplecione zostały urywki śląskich pieśni powstańczych, harmonizujące z całością.

(a. wid.)

Patrzymy na ekran

W Katowicach „nic nowego pod słońcem". Oczywiście pod tym sierpniowym, wakacyjnym słońcem. Na ulicy 3 Maja straszy duch krzepkiego „cave-man": Victora Mc. Laglen (filmy: „Niewidzialny wróg" i „Gunga Din"). Powracają do nas dawni znajomi, bądź grupami, po kilku („Było ich 9-ciu"), bądź też pojedynczo, żądając od nas, zupełnie nie zasłużonej miłości („Kochaj tylko mnie"). A my posłusznie patrzymy. Trudno — urlop się skończył, trzeba znowu chodzić do kina.

Tymczasem na szerokim świecie filmy, jak złoto. „Skarb rodziny Goupi" (Francja), „Wielki przełom" (ZSRR), „Zielone lata" (USA) itd. A w Katowicach... „Dr. Murek zredukowany". Ach, żeby tak został zredukowany „Biały murzyn", „Zakochany złodziej" czy „Znachor". Ale cóż — nie zanosi się na to — o miłj kinomęczennicy moi. Jeszcze długo nie

Nasza Wielka Inkwizycja — Centralny Zarząd Kin — odgraża się wprawdzie, że już, że niedługo, że polski, normalno-metrażowy film. Ale, jak dotychczas widzimy, najwyżej krótko-metrażówki o „rękach dziecka", przyjemne, ale jeszcze nie potrzebne. Wolelibyśmy jedną, porządną potrawę, niż wymyślne zakąski. A pieniądze na to idą. No, bo nawet te maleńkie dzieci nie chcą grać za darmo w filmie. — Prawda?

Po długiej przerwie wojennej ukazało się pierwsze polskie pismo, poświęcone zagadnieniom kinowym, pt. „Film". Jest to ilustrowany dwutygodnik, wychodzący w Łodzi. Wydawcą jest „Film Polski".

Przyjrzyjmy się teoretyczno-artystycznej stronie pisma. — Artykuły pióra naszych filmowców (niestety trudno rzec — teoretyków filmu), dają dość dużo informacyj spragnionemu nowin czytelnikowi. Niestety jednak ani uwagi wstępne Jerzego Bossaka, ani artykuły teoretyczno-dyskusyjne (Toeplitza „Powojenne oblicze filmu") — nie stoją na tym poziomie, którego należało by oczekiwać od państwowego wydawnictwa. Powtarzanie ogranego motywu: „zrobiliśmy bardzo dużo, jak na obecne warunki", nie zmienia w niczym ani stanu faktycznego, ani naszego niedowierzania.

Ciekawszym jest natomiast trójgłos literata (Brandys), reżysera teatralnego (Daczyński) i filmowego (Zarzycki) o filmie francuskim „Skarb rodziny Goupi". Widzimy bowiem ten film w potrójnym, krytycznym aspekcie, co nam daje możność bardziej wszechstronnego przygotowania się do zobaczenia tego na prawdę rewelacyjnego obrazu.

Dobrą pozycją pisma jest poza tym strona ilustracyjno-graficzna oraz serwis informacyjny. Widoczna pewna przypadkowość w doborze materiału i wynikająca z tego chaotyczność prezentowanej treści. Ale pamiętajmy, że to pierwszy numer.

Pożytecznemu pismu życzymy powodzenia u czytelników.

Alba.

Barwniki »Orion»

do wszelkich materiałów, o wysokiej jakości, otrzymasz w drogeriach i składach farb.

SKŁADNICA FABRYCZNA KATOWICE
ul. Starowiejska 3 :: Telefon nr. 354-64

Redaguje komitet. Red. naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawn. „Czytelnik' Katowice, 3. Maja 12. Wydawca. Sp. Wydawn. „Czytelnik"
R 21915